



ORZEŁ SKALNY

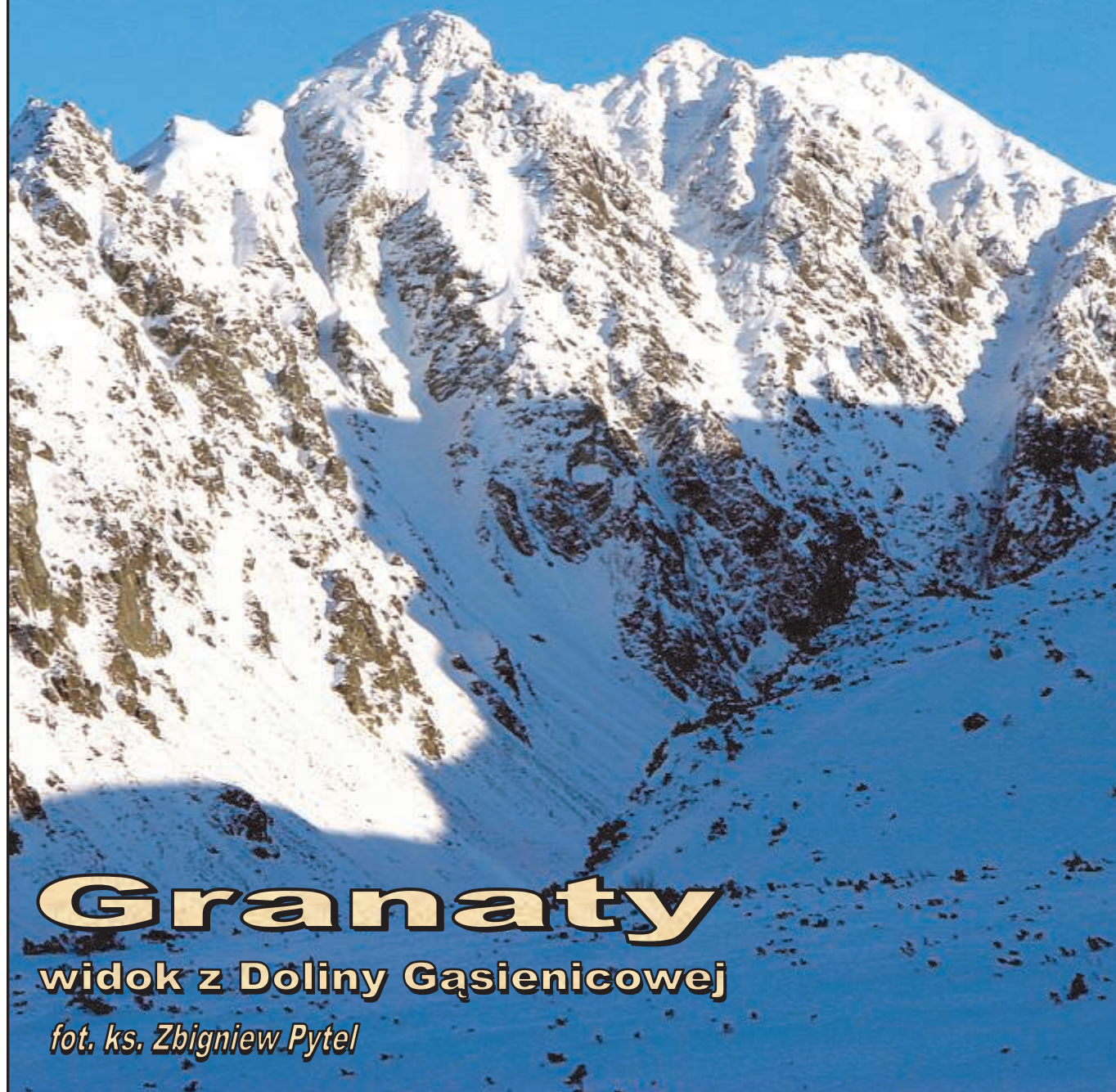


KWARTALNIK ODDZIAŁU CHRZANÓW
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

Numer 60 (XV)

Październik - Grudzień 2011

15 lat już leci... „Orzeł Skalny”



Granaty

widok z Doliny Gąsienicowej

fot. ks. Zbigniew Pytel

Zdjęcia konkursowe



Fot.1 Kominiarski Wierch
widok spod Grzesia
(fot. Zygmunt Jeleń)

<<<

Fot.2 Zachód słońca nad Tatrami
(fot. Remigiusz Lichota)

>>>



Fot.3 Wołowiec i Rochacze
- widok z Przeł. Smutnej
(fot. Maria Grochal)

<<<

To już 15 lat...

Już 15 lat minęło od chwili, gdy Zarząd Oddziału PTT w Chrzanowie podjął uchwałę o wydawaniu kwartalnika „Orzeł Skalny”. 18 stycznia 1997r. na uroczystości opłatkowej trafił do rąk czytelników „Orzeł Skalny” nr 1. Posiadał on jedynie 6 stron. Jego nazwa pochodzi od pseudonimu najwybitniejszego pedagoga w blisko stuletniej historii Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Chrzanowie, dr Zdzisława Krawczyńskiego. Swoje utwory literackie podpisywał on pseudonimem „Orzeł Skalny” (O.S.). Był to człowiek wybitny, wychowawca młodzieży i znakomity turysta zakochany w Tatrach.

W naszym kwartalniku głównie przedstawialiśmy działalność statutową Oddziału PTT. Dużą pomocą w redagowaniu „Orła Skalnego” wykazali się nasi członkowie, którzy dostarczali ciekawe artykuły na jego łamy, wzbogacając jego treść i podnosząc jakość pisma. Najstarszą stałą rubryką ukazującą się od nr 1 jest „Czy wiecie, że...” i od 2 nr „Z życia Oddziału”. Od nr 3 istnieje „Kącik poezji”, prowadzony przez twórców poezji, głównie przez Lucynę Szubel. Z każdym rokiem powiększa się ilość autorów, których artykuły zamieszczaliśmy w kwartalniku. Wśród nich znajdują się: podróżnicy, przewodnicy, alpinści, literaci, duchowni. Myślę, że sukcesem można na-

zwać pozyskanie do stałej współpracy znanych naukowców (UJ, PAN, AR, AGH, PAT, TPN), których artykuły w znaczący sposób podniosły poziom naszego kwartalnika.

„Orzeł Skalny” ukazywał się w nakładzie do 150 sztuk. Aktualnie drukowanych jest 50 sztuk, część w wersji kolorowej i część w wersji czarno - białej. Zamieszczany jest on na naszej stronie internetowej jak również przekazywany: sponsorom, autorom tekstów, aktywnym członkom PTT, Oddziałom PTT w całej Polsce, członkom ZG PTT, Centralnej Górskiej Bibliotece w Krakowie, Miejskiej Publicznej Bibliotece w Chrzanowie, Muzeum w Chrzanowie i czyteln MBP w Chrzanowie.

Z okazji 15-stolecia istnienia naszego kwartalnika składamy serdeczne podziękowanie za współpracę redakcyjną członkom zespołu redakcyjnego i naszym stałym współtwórcom – autorom ciekawych artykułów, z nadzieją na dalszą owocną współpracę. Dziękujemy też wszystkim Sponsorom za pomoc finansową, dzięki której „Orzeł Skalny” mógł się rozwijać i być wydawany.

Remigiusz Lichota



XXX - lecie reaktywacji PTT

10 października minęło 30 lat od historycznego spotkania miłośników turystyki i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w krakowskim Klubie Dziennikarzy przy ul. Szczepańskiej w Krakowie. Z tej okazji, 8 października b.r. Zarząd Główny PTT dla uczczenia tej donio-



Fot.4 Po uroczystej Mszy Św. Jubileuszowej

ślej rocznicy zorganizował okolicznościowe spotkanie w tym samym lokalu. Spotkanie rozpoczęło się Mszą świętą w kościele św. Marka, którą odprawił w intencji nieżyjących uczestników Sejmiku OKR PTT, ksiądz Paweł Cyz CO, a homilię wygłosił ks. Adam Wąsik.



Fot.5 Wręczenie pamiątkowego dyplomu Stanisławowi Trębaczowi

Po Mszy zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie, a następnie przeszliśmy do Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Jubileuszowe spotkanie poprowadził Janusz Machulik -



Fot.6 Uczestnicy z Oddziału Chrzanów

przewodniczący Komisji ds. Historycznych przy ZG PTT. Tutaj też nadeszła chwila na wręczenie państwowych odznaczeń zasłużonym działaczom PTT. Wręczył je Wojewoda Małopolski - Pan Stanisław Kracik. Następnie Prezes Zarządu Szymon Baron wręczył pamiątkowe dyplomy, m.in. naszemu Prezesowi Honorowemu Stanisławowi Trębaczowi obecnemu na uroczystości. Kolejno Członkowie Honorowi PTT: Stefan Maciejewski oraz Barbara Morawska-Nowak wygłosili swoje referaty okolicznościowe. W obchodach XXX-lecia udział wzięło trzech członków naszego Oddziału: Stanisław Trębacz, Remigiusz Lichota oraz Jan Poręba.

Remigiusz Lichota

Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PTT i V Posiedzenie ZG PTT w Krakowie

W niedzielę 23 października w Krakowie odbył się Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Zjazd został zwołany w celu zmiany paragrafu 52 punktu 1 w Statucie PTT, aby dostosować go do obowiązujących aktów prawnych, do czego zobligował nas Sąd. Przybyłych na Zjazd Delegatów powitał Prezes ZG PTT Szymon Baron. Przewodniczącym obrad został wiceprezes Nikodem Frodyma, a protokolantem - Barbara Morawska-Nowak. Powołano jedną Komisję Mandatowo-Skrutacyjną

bycie. W obradach uczestniczyło sześciu delegatów z Oddziału PTT w Chrzanowie.

Natomiast przed zjazdem odbyło się V Posiedzenie ZG PTT, któremu przewodniczył Prezes PTT Szymon Baron. Na wstępie Prezes odczytał sprawozdanie z działalności ZG PTT za okres 14-05-2011 do 16-10-2011. Na posiedzeniu poruszono temat odpisów z tytułu wpłat z 1% OPP i składek członkowskich, który omówiła Skarbnik ZG Joanna Król.



Fot.7 Na Nadzwyczajnym Zjeździe Delegatów PTT

w składzie: Janina Mikołajczyk (oddział Łódź) i Tomasz Węgrzyn (oddział Bielsko-Biała), a w skład komisji Statutowej weszli: Antoni Leon Dawidowicz (o/Kraków) i Szymon Baron (o/Bielsko-Biała). Na Zjeździe obecnych było 86 delegatów, co stanowiło liczbę powyżej 2/3 uprawnionych. Członek Komisji Statutowej Antoni Leon Dawidowicz omówił proponowaną do przyjęcia treść paragrafu 52 Statutu, a Nikodem Frodyma zaproponował jawne głosowanie nad przygotowaną przez Zarząd Główny uchwałą. Wobec braku głosu sprzeciwu, przeprowadzono głosowania. Przy jednym głosie wstrzymującym delegaci opowiedzieli się za przyjęciem uchwały. Był to jedyny punkt porządku dziennego Zjazdu, wobec tego Przewodniczący Zjazdu, Nikodem Frodyma zamknął obrady dziękując wszystkim za liczne przy-



Fot.8 Na posiedzeniu ZG PTT

Kolejnym tematem obrad był projekt uchwały Nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów dotyczącej paragrafu 52 punktu 1 w Statucie PTT, który przedstawił Antoni Leon Dawidowicz. W dalszym porządku znalazły się: projekty odznaki znakarza szlaków PTT wraz z projektem legitymacji znakarza szlaków PTT i projekt nowych odznak PTT za staż członkowski. Barbara Morawska - Nowak przedstawiła komunikat redakcji Pamiętnika Tatrzańskiego. Omówiono także informację o Roku Ochrony Przyrody 2012. Na koniec przedstawiono projekt książeczki GOT PTT przygotowanej przez Oddział w Chrzanowie, który został zatwierdzony przez ZG PTT.

Marcin Ryś

Z ŻYCIA ODDZIAŁU



1-2.10.2011 r. Tym razem grupa PTT Chrzanów wraz z przewodnikiem Remigiuszem Lichotą wybrała się w sobotę do Jaworek z zamiarem przejścia Małych Pienin. Wędrówkę rozpoczęliśmy od Wąwozu Homole,



Fot.9 W wąwozie Homole pod Kamiennymi księgami

z którego podążyliśmy na Wysoką - najwyższy szczyt Pienin (1050 m). Podczas dalszej wędrówki odwiedziliśmy schronisko Pod Durbaszką, gdzie po wbiciu pieczętek wyruszyliśmy szlakiem granicznym w stronę Szczawnicy do schroniska Pod Orlicą, gdzie przenocowaliśmy. Następny dzień rozpoczęliśmy od uczestnictwa we Mszy Świętej, następnie niebieskim szlakiem przeprawiliśmy się na drugą stronę Dunajca skąd zaczęliśmy przemierzać Pieniny Właściwe zaczynając od Sokolicy przez Górę Zamkową i dochodząc do Trzech Koron. Po krótkiej panoramie na galerii widokowej zeszliśmy do Krościenka, w którym udało nam się zobaczyć najciekawsze obiekty zabytkowe. Stamtąd wróciliśmy bezpiecznie do Chrzanowa.

05.10.2011 r. Prelekcją p.t. „Zielona Wyspa Irlandia” rozpoczęliśmy kolejny se-



Fot.10 Prelezentka mgr Barbara Wawrzyniak

zon spotkań z ludźmi gór, podróżnikami, naukowcami i przewodnikami. Gościliśmy Panią Barbarę Wawrzyniak - pasjonatkę gór, nauczyciela geografii w chrzanowskim I LO oraz Członka Zarządu PTT w Chrzanowie, która w ciekawy sposób przedstawiła nam swoją przygodę z Irlandią.

08.10.2011 r. W sobotę 8 października w Krakowie odbyła się XXX-lecia reaktywacji Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (więcej w artykule wewnątrz numeru)

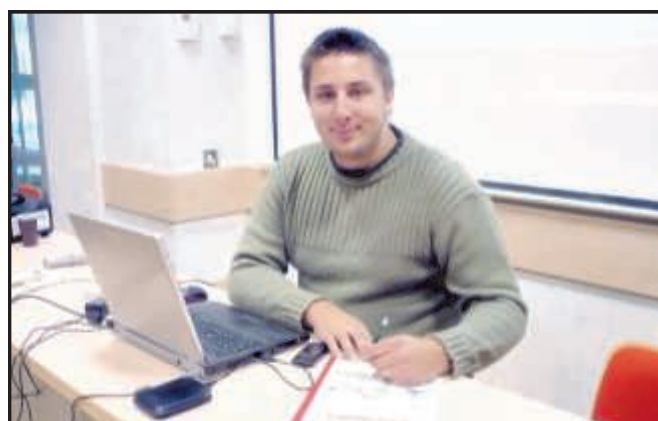
09.10.2011 r. Na kolejną wyprawę w Gorce i kontynuację Głównego Szlaku Beskidzkiego Pasmem Lubania wybraliśmy się z przewodnikiem Remigiuszem Lichotą. Wędrówkę



Fot.11 Wręczenie legitymacji PTT kol. Pawłowi Gąsiorkowi

rozpoczęliśmy z Przełęczy Knurowskiej, która oddziela pasmo Lubania od grupy Turbacza. Nasza trasa wiodła przez Studzionki, Runek, Lubań, aż do Krościenka. Szczytowa partia Lubania pokryta była niewielką warstwą śniegu. Na jednym z dwóch wierzchołków Lubania, gdzie znajduje się ołtarz polowy z Krzyżem Papieskim, legitymację członkowską PTT otrzymał kolega Paweł. Po krótkim odpoczynku w nieczynnej bazie SKPG Kraków zeszliśmy do Doliny Dunajca w Krościenku kończąc kolejny odcinek GSB.

12.10.2011 r. Prezes Zarządu Głównego PTT-Szymon Baron przeprowadził prelekcję



Fot.12 Prelezent mgr inż. Szymon Baron

p.t. „Mołdawia”. Wyprawa ta odbyła się w czerwcu tego roku i była lekko przypadkowa, bowiem pierwotnie wraz z trójką znajomych prelegent wybierał się w Alpy, wyjazd ten pokrzyżowała jednak pogoda. Dzięki temu mogliśmy podziwiać Mołdawię z perspektywy Pana Szymona.

16.10.2011 r. W tę niedzielę wycieczkę poprowadził przewodnik Janusz Sadzikowski.



Fot.13 Na Trzydniwiańskim Wierchu

Grupa piechurów wybrała się z nim w Tatry Zachodnie w celu zdobycia Starorobociańskiego Wierchu. Pogoda była piękna, co również wpłynęło na pozytywne przeżycia związane z wędrówką. Jednak obficie zalegający śnieg pokrzyżował nam plany. Ze względów bezpieczeństwa nie mogliśmy wspiąć się na wcześniej zaplanowany szczyt, ale zadowoliliśmy się Trzydniwiańskim Wierchem, gdyż wszystko zrekompensowały nam widoki na Tatry.

19.10.2011 r. „Krymskie Perełki”- to tytuł prelekcji prowadzonej przez Zygmunta Je-



Fot.14 Prelegent mgr Zygmunt Jeleń

lenia - przewodnika beskidzkiego. Prelegent w barwny sposób przedstawił nam swoją tegoroczną wyprawę w rejony Krymu, z której przywiózł wiele zdjęć i ciekawych wspomnień.

22.10.2011 r. Dla upamiętnienia pierwszej wycieczki po reaktywacji PTT w Chrzanowie w 1989 r. postanowiliśmy wybrać się po raz 23 na Magurkę Wilkowicką - tak



Fot.15 Na Magurce Wilkowickiej

jak to było przed laty. Grupie turystów tym razem przewodniczył Józef Haduch. Wędrówkę rozpoczęliśmy w Łodygowicach od zwiedzenia XVII-wiecznego, drewnianego kościoła p.w. Świętych Szymona i Judy Tadeusza oraz zespołu pałacowo-parkowego. Stamtąd wyruszyliśmy czerwonym szlakiem przez Rogacz na Czupel - najwyższy szczyt Beskidu Małego (933 m). Dalej udaliśmy się w stronę schroniska na Magurce Wilkowickiej, a po drodze zwiedziliśmy jaskinię „Wietrzna Dziurę”, której korytarze mają około 30 m długości. Po pamiątkowym zdjęciu przed schroniskiem zeszliśmy na Łysą Przełęcz, gdzie rozpaliliśmy ognisko i upiekliśmy kiełbaski. W drodze powrotnej w Kętach udało nam się zwiedzić XVII-wieczny kościół p.w. Św. Jana Kantego.

23.10.2011 r. W niedzielę 23 października w Krakowie odbył się Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i V posiedzenie ZG PTT (więcej w artykule wewnątrz numeru)

26.10.2011 r. Gościem dzisiejszej prelekcji był podróżnik i fotografik - ksiądz



Fot.16 Prelegent ks. Zbigniew Pytel

Zbigniew Pytel. Podzielił się on z nami wrażeniami, wspomnieniami oraz slajdami z pobytu w Norwegii w 2011 roku. Piękny podkład muzyczny dopełnił całości mistycznego przedstawianych widoków.

06.11.2011 r. W pierwszą listopadową niedzielę wybraliśmy się w Beskid Sądecki, aby przejść Pasma Jaworzyny Krynickiej z



Fot.17 Na Jaworzynie Krynickiej

Krynicy do Wierchomli. Wędrówkę naszą rozpoczęliśmy od zwiedzenia najciekawszych miejsc uzdrowiska. Przez Holice doszliśmy do Czarnego Potoku skąd zaczęliśmy wspinaczkę w nasze pasmo pod najwyższy szczyt. Wędrowaliśmy Głównym Szlakiem Beskidzkim. Po trzech godzinach doszliśmy do schroniska pod Jaworzyną Krynicką gdzie po regeneracji sił i uzupełnieniu pieczętek powędrowaliśmy przez Runek do schroniska Nad Wierchomlą. Idąc w stronę górnej stacji kolejki krzesełkowej podziwialiśmy piękno Tatr na tle zachodzącego słońca. Wzdłuż wyciągu zeszliśmy do Wierchomli Małej, gdzie zakończyliśmy wędrówkę.

09.11.2011 r. Drugi raz w tym roku gościliśmy młodą alpinistkę Aleksandrę Dzik,



Fot.18 Prelegentka mgr Aleksandra Dzik

która przedstawiła prelekcję p.t. „Kobiety na ośmiotysięcznikach - Ternua Female Team - Gaszerbrumy 2011”. Pani Aleksandra opowiedziała o tym, jak razem z Ukrainką Marią "Maszą" Chitrikową oraz

wspomagającym je Jackiem Telerem w sztormowej pogodzie stanęli na wierzchołku Gasherbrum II (8035 m).

13.11.2011 r. W Krzeszowie zaczęliśmy kolejny odcinek Małego Szlaku Beskidzkiego pod przewodnictwem Józefa Haducha. Trasa



Fot.19 W przysiółku Żmije

wiodła przez Żurawnicę, na której znajduje się drewniany krzyż oraz wiele wychodni skalnych. Idąc dalej przez Prorokową Górę zeszliśmy do Doliny Skawy do Zembrzyc, gdzie przekraczając rzekę weszliśmy w nową grupę górską- Beskid Makowski. Po zwiedzeniu rynku i zobaczeniu kilku zabytkowych, przydrożnych kapliczek wyruszyliśmy na Chełm, na którym znajduje się XVI-wieczna kamienna figura św. Onufrego- patrona turystów. Dalej podążyliśmy do Palczy, gdzie zakończyliśmy naszą wędrówkę. Na koniec dnia udaliśmy się nad rzekę Paleczkę, nad którą upiekliśmy kiełbaski.

16.11.2011 r. W podróż do Wietnamu zabrał nas dr inż. Jerzy Mościcki - podróżnik, geolog i geofizyk na AGH w Krakowie.



Fot.20 Prelegent dr inż. Jerzy Mościcki

Przedstawił materiał z podróży do tego pięknego zakątka Azji w którą wybrał się ze znajomymi z uczelni. W Wietnamie nasi podróżnicy korzystali z gościnności byłych absolwentów AGH w Krakowie, zajmujących teraz wysokie stanowiska w swoim kraju.

20.11.2011 r. Wycieczkę w Pasma Bliźniaków poprowadził Remigiusz Lichota. Rozpoczęła się ona od obejrzenia dworku Emila



Fot.21 Kamieniołom w Kaczyni

Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym. Był on założycielem grupy literacko-plastycznej „Czartak”, głoszącej generalny zwrot ku ludowości. Wędrując przez Łysą Górę, Przełęcz Panczakiewicz, Bliźniaki i Pańską Górę doszliśmy do Andrychowa, gdzie zobaczyliśmy najciekawsze zabytki takie jak: XIX-wieczny Pałac Bobrowskich i XVII-wieczny kościół parafialny otoczony pięknym parkiem. Na zakończenie wycieczki upiekliśmy kielbaski nad Wierzątką.

23.11.2011 r. Tym razem gościliśmy utalentowanego taternika Łukasza Deptę, który



Fot.22 Prelegent Łukasz Depta

przedstawił ciekawy materiał ze wspinaczki na dochodzące do 1000 metrów wysokości ściany rejonu Karavshin na pograniczu Kirgizji i Tadżykistanu.

27.11.2011 r. Ostatni odcinek Małego Szlaku Beskidzkiego przeszliśmy wraz z Remigiuszem Lichotą. Prowadził on z Mszany Dolnej aż na Luboń Wielki. Początkowa trasa wiodła przez centrum miasta i prawie cały czas drogą aż do Przełęczy Głisne. Stąd zaczęło się ostre podejście pod szczyt Lubonia, którego pokonanie zajęło nam godzinę. Po dojściu do schroniska Prezes wręczył Odznakę Małego Szlaku Beskidzkiego Marii Grochal, która przeszła go w całości w 2011 roku.



Fot.23 Na Luboniu Wielkim

30.11.2011 r. Dzisiaj gościliśmy podróżnika i publicystę Tomasza Cukiernika, który opowiedział o swojej wyprawie do Nowej Zelandii i Fidżi. (rozwiniecie tematu znajduje się w artykule wewnątrz numeru)

04.12.2011 r. W pierwszą niedzielę grudnia odbyło się XVIII zimowe wejście na Babia Górę, któremu przewodniczył Remigiusz Lichota. Wędrówkę rozpoczęliśmy z Przełęczy Krowiarki wychodząc na Sokolicę.



Fot.24 Na Przełęczy Krowiarki

Tam weszliśmy w niski pułap chmur towarzyszący nam aż do Przełęczy Brona, skąd zeszliśmy do schroniska na Markowych Szczawinach. Odbyło się tu wręczenie Odznaki Głównego Szlaku Beskidzkiego koleżance Bożenie Mazur. Na Markowych Szczawinach zwiedziliśmy nowo otwarte Muzeum Turystyki Górskiej. Maszerując dalej czarnym szlakiem zeszliśmy do Zawoi Lajkonik, gdzie czekał na nas bus, którym pojechaliśmy do Suchej Beskidzkiej, aby wyjść na Jasień gdzie znajduje się XVIII-wieczna kaplica Konfederatów Barskich. Z Jasienia zeszliśmy w rejon zamku suskiego, zwanego Małym Wawelem spod którego pojechaliśmy do Chrzanowa.

07.12.2011 r. Kolejny raz w tym roku odwiedził nas przewodnik tatrzański Jacek Płonczyński. Tym razem przedstawił prelekcję p.t. „Włóczęgi Północy cz.2-Przez Koło Podbiegunowe na Lofoty”. (Rozwiniecie tematu znajduje się w artykule wewnątrz numeru)



Fot.25 Prelegent Jacek Płonczyński

11.12.2011 r. W niedzielny, słoneczny poranek wybraliśmy się na Klimczok. Przewodnikiem wycieczki był Remigiusz Lichota. Trasa rozpoczęła się w Bystrej Śląskiej i przebiegała przez Kozią Górę



Fot.26 Przed schroniskiem na Szyndzielni

gdzie znajduje się drewniane schronisko ZHR „Stefanka”. Po krótkiej przerwie wyruszyliśmy przez Przełęcz Kołowrót do schroniska na Szyndzielni. Spotkaliśmy tam kolegę Jana Nogasia wiceprezesa PTT w Bielsku Białej. Po posileniu się i pamiątkowym zdjęciu podążyliśmy na szczyt Klimczoka. Dzięki dobrej widoczności zobaczyliśmy piękną panoramę z Pilskiem, Babią Górą i Tatrami w tle. Stamtąd podążyliśmy do schroniska pod Klimczokiem, a następnie po przerwie obiadowej doszliśmy przez Magurę do Bystrej Krakowskiej. Tam zakończyliśmy wędrówkę.

14.12.2011 r. Gościem naszego śródownego spotkania był dr hab. Jarosław Balon



Fot.27 Prelegent dr hab. Jarosław Balon

- geograf, podróżnik i przewodnik tatrzański. W sposób ciekawy i humorystyczny opowiedział słuchaczom o wyprawie w Góry Ladakhu w Północnych Indiach.

18.12.2011 r. Na zakończenie tego roku wybraliśmy się wraz z Januszem Sadzikowskim na Kopieniec Wielki i Nosal. Z Toporowej Cyrli wyruszyliśmy na Kopieniec



Fot.28 Na Wielkim Kopieńcu

Wielki, z którego roztaczały się widoki na Tatry Wysokie i Zachodnie. Następnie zeszliśmy na Polanę Olczyšką, na której znajduje się wywierzysko i zabytkowy szałas. Stamtąd wyruszyliśmy przez Nosal do Zakopanego, gdzie na przedświątecznych Krupówkach zakończyliśmy nasz sezon.

21.12.2011 r. Tomasz Cukiernik zachwycił nas po raz kolejny bardzo wciągającą prelekcją. Tym razem opowiadał o swojej



Fot.29 Prelegent mgr Tomasz Cukiernik

wyprawie do Wenezueli, którą odbył w 2008 roku. Chociaż głównym celem wyjazdu był trekking na tepui Roraimę, to pobyt w Wenezueli został podzielony na trzy etapy: tepui Roraima, sawanna los Llanos oraz wenezuelskie wybrzeże Morza Karaibskiego.

Remigiusz Lichota

Jesienna Galeria Tatrzańsko - Beskidzka



30



31



32



33



34



35



36

Fot.30 Trzydniowiński Wierch

Fot.31 Na Carchli

Fot.32 Na Lubaniu

Fot.33 W jaskini Smocza Jama (Wietrzna Dziura)

Fot.34 Przy pomniku Nikifora w Krynicy

Fot.35 Wręczenie odznak GOT na Bliźniakach

Fot.36 Schronisko na Luboniu Wielkim

Jesienna Galeria Tatrzańsko - Beskidzka



Fot.37 Wręczenie odznaki OKT MSB Marii Grochal w schronisku na Luboniu Wielkim

Fot.38 Na Perci Borkowskiego

Fot.39 Wręczenie odznaki OKT GSB Bożenie Mazur w schronisku na Markowych Szczawinach

Fot.40 Wspólne zdjęcie z turystami z PTT z Nowego Sącza w schronisku na Markowych Szczawinach

Fot.41 Przed schroniskiem Stefanka na Koziej Górze

Fot.42 Orły w śniegu pod Klimczokiem

Fot.43 Na Nosalu



➤➤➤ W 2012 roku na dachach ponad 2 tys. domów od Kamienicy po Rabę Wyżną pojawiają się kolektory słoneczne dofinansowane przez rząd Szwajcarii.

➤➤➤ Artur Hajzer, Adam Bielecki i Tomasz Wolfart 30 września 2011 stanęli na szczycie Makalu (8462 m). Wyprawa odbyła się w ramach programu Polski Himalaizm Zimowy 2010-2015

➤➤➤ 28 września zmarł architekt Stanisław Tylka, przed laty architekt miejski w Zakopanem, autor projektu Sanktuarium na Krzeptówkach.

➤➤➤ Minęło już 14 lat od tragicznej śmierci Janusza Śmiałka, wybitnego taternika jaskiniowego, przewodnika tatrzańskiego, ratownika TOPR i pracownika naukowego krakowskiej AGH.

➤➤➤ Skazańcy z okręgu krakowskiego przepracowali na górskich szlakach 2 tysiące godzin, z nawiązką spłacając dług społeczeństwu. W Murzaszchlu uprzątnęli dzikie wysypisko, z Włosienicy usunęli stare betonowe płyty, w Dolinie Kościeliskiej okorowali powalone drzewa, odkopali i usunęli pozostałości po starych słupach energetycznych. Na tatrzańskich szlakach pracowało łącznie 30 więźniów z nowosądeckiego zakładu karnego.

➤➤➤ Symboliczny Cmentarz pod Osterwą to magiczne miejsce, które powinni poznać wszyscy miłośnicy Tatr. Jest to niewielki teren, na którym umieszczono tablice upamiętniające około 300 osób, które zginęły w górach.

➤➤➤ 4 listopada w Rzymie górale wystawili operę „Jan Paweł II na Podhalu”. Zaproszenie do Starostwa Tatrzańskiego wystosowała Pani ambasador Rzeczypospolitej Polskiej przy Stolicy Apostolskiej – Hanna Suchocka. Widowisko było prezentowane w Teatrze w ramach Prezydencji Polskiej w Unii Europejskiej.

➤➤➤ Dzięki unijnej dotacji Geotermia Podhalańska rozbuduje swą sieć i podłączy ponad 100 nowych budynków. Geotermia Podhalańska otrzymała 4 mln zł na rozwój infrastruktury. Projekt "Rozwój infrastruktury służącej do produkcji, przesyłu i dystrybucji energii geotermalnej w gminach: Zakopane, Biały Dunajec i Szaflary" zakłada rozbudowę istniejącej sieci. Przebudowany zostanie nieczynny odwiert w Białym Dunajcu. W Zakopanem już 35 % budynków ogrzewanych jest z sieci geotermalnej.

➤➤➤ W Chochołowie powstaną 2 skocznie narciarskie o długości 15 i 30 metrów. Powstaną na zboczach Beskidu, na prywatnych działkach, które odkupi gmina.

➤➤➤ Po trzydziestu latach przerwy kobieta znowu może zostać ratownikiem TOPR. Zarząd TOPR zgodził się przyjąć na staż mieszkankę Zakopanego. Nie oznacza to, że zostanie ratownikiem. Czekają ją teraz trwające w niektórych przypadkach nawet kilka lat staż zakończony egzaminami, które zadecydują o przyjęciu w szeregi ratowników.

➤➤➤ Tylko cztery z 14 głównych ośmiotysięczników nie zostały jeszcze zdobyte zimą. Wszystkie znajdują się w Pakistanie, w tym trzy w Karakorum, a jeden w Himalajach Zachodnich. Niezdobyte są dotąd w Zachodnich Himalajach Nanga Parbat oraz trzy w Karakorum - Gasherbrum I, Broad Peak i drugi co do wysokości szczyt świata K2.

➤➤➤ Polscy i słowaccy przyrodniccy policzyli kozice po obu stronach Tatr. Jest ich prawie tysiąc. Można je spotkać w rejonie Morskiego Oka, Doliny Pięciu Stawów Polskich, masywu Czerwonych Wierchów z Giewontem oraz grani Tatr Zachodnich. Występują ponad górną granicą lasu. Żerują na górskich łąkach, a na skalistych zboczach i turniach odpoczywają, chronią się przed wrogami i turystami. Akcja liczenia kozic odbywa się od pół wieku.

➤➤➤ II Kard. Stanisław Dziwisz poświęcił nowy kościół pod wezwaniem Jana Pawła II w Nowym Targu, położony niedaleko supermarketu „Alma”. Podczas uroczystości poświęcenia kościoła kard. Dziwisz przekazał parafii relikwie z krwią błogosławionego następcy św. Piotra.

Małgorzata Mazgaj

Witamy w Oddziale



➔ Stadnina koni „Szarża” w Bołęcinie zakończyła działalność i została wystawiona na sprzedaż. Właściciel uzasadnia swój ruch decyzją burmistrza gminy Trzebinia o nieprzedłużaniu umowy dzierżawy terenu nad Gliniakami.

➔ Po raz siódmy odbył się w Chrzanowie bieg uliczny w hołdzie Janowi Pawłowi II organizowany przez parafię Matki Boskiej Różańcowej.

➔ Na trasie Kraków – Oświęcim zaczął jeździć nowy pociąg o nazwie „Jura”. Pociąg jest przyozdobiony zdjęciem Zamku Lipowieckiego.

➔ Komendant Główny Państwowej Straży Pożarnej przyznał jednostkom OSP z Myślachowic i Bołęcina środki pieniężne na zakup sprzętu ratowniczego. Samorządy dołożyły się do zakupów.

➔ Tadeusz Arkit głosami wyborców ponownie otrzymał mandat poselski. Jako jedyny będzie reprezentował powiat chrzanowski.

➔ Dawid Jarosiński z chrzanowskiego Teatru Imaginarium został wybrany najlepszym aktorem na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Niezależnych Pro-Contra w Szczecinie.

➔ Po 9 latach od przejazdu ostatniego pociągu relacji Trzebinia – Spytkowice podjęto decyzję o likwidacji przejazdu kolejowego w Alwerni. Z przejazdu usunięto już znaki stop, a w przyszłości zostanie zdemontowane torowisko.

➔ W związku ze 100-leciem I LO w Chrzanowie powiat chrzanowski we współpracy z Mennicą Śląską wydał kolejną monetę z serii 100 Talarów Chrzanowskich.

➔ Klub Literacki działający w parafii MBR w Chrzanowie zorganizował wieczór literacko – muzyczny poświęcony Agnieszce Osieckiej. Spotkanie zorganizowano z okazji 75 rocznicy urodzin autorki.

➔ Z okazji 80-lecia istnienia dyrekcja szpitala w Chrzanowie zdecydowała się wydać monografię opisującą dzieje szpitala.

➔ Jak co roku 1 listopada na cmentarzu w Chrzanowie przeprowadzono kwestę na rzecz odnowy starych nagrobków. Wśród kwestujących byli również starosta Adam Potocki oraz burmistrz Ryszard Potocki.

➔ 4 listopada w ramach cyklu Źródło – Chrzanowskie Spotkania Muzyczne w Chrzanowie zaśpiewał krakowski chór SYLOE.

➔ Rynek w Alwerni w końcu doczeka się rewitalizacji. Gmina otrzymała dotację z Unii, konserwator zabytków zaakceptował projekt. Prace ruszą w 2012 roku.

➔ 25 listopada odbył się V Koncert Papieski w zabytkowym kościele w Mętkowie. Gośćmi byli Alicja Majewska z Włodzimierzem Korczem. Koncert jest organizowany w rocznicę odprawienia pierwszej mszy w tym kościele w nowej lokalizacji.

➔ Gimnazjalistki z Alwerni zajęły 1 miejsce w międzynarodowym turnieju piłkarskim organizowanych w Niemczech.

➔ Do końca marca 2012 roku zostanie zburzona ruina po starym szpitalu. Za dwa lata na tym miejscu powstanie galeria handlowa z multiplexem.

➔ W Chełmku odbyły się spotkania ze współczesną czeską animacją. Swoją twórczość prezentowali studenci z Wydziału Filmu i Grafiki Filmowej ASP w Pradze.

➔ Chrzanowski szpital wzbogacił się o nową karetkę. Zakup samochodu częściowo sfinansował wojewoda małopolski. W 2012 roku zostaną przekazane kolejne środki na zakup wyposażenia karetki.

➔ 6 grudnia został otwarty Orlik na ulicy Zielonej w Chrzanowie. W skład obiektu wchodzi boisko ze sztuczną trawą, boisko do piłki ręcznej, futsal, koszykówki, siatkówki i tenisa.

➔ Muzeum Ziemi Krzeszowickiej wzbogaciło się o nową stałą ekspozycję. Jest to ekspozycja poświęcona życiu codziennemu na przełomie XIX i XX wieku.

➔ Z okazji 50-lecia Muzeum w Chrzanowie ukazało się wydawnictwo, w którym 10 autorów opisuje nieznane epizody lokalnej historii. Książka nosi tytuł „Dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze ziemi chrzanowskiej”.

➔ Kościół Matki Boskiej Fatimskiej w Trzebini otrzymał od Kardynała Stanisława Dziwisza relikwie błogosławionego Jana Pawła II. Są to pierwsze relikwie papieża w powiecie chrzanowskim.

➔ W Chrzanowie otwarto Punkt Informacji Turystycznej. Mieści się przy Alei Henryka 40. Jest jednym z 34 takich punktów zaplanowanych w województwie małopolskim w ramach Małopolskiego Systemu Informacji Turystycznej.



Kozokowy Uptoz

Wojciech Żegleń-Kozok nie wydolył strzymać w doma. Niemoc kozą ostawić upłaziańskom bacow-ke. Hej Boze, Boze, poniehać!

Pocieseniem było przekazanie synowi tej dziadkowskiej gazdowki. Wojtkowi. Od dziecka uconemu. Od kołyski z baraniej skory. Plekoł tys owce mleko od tyżnia żywota. Chore matcyne wymiona straciły żywienie.

We Świentego Jona owładła Kozoka śmierzciano markotność. Wołół bywałyk bacow za domem przy watrze. Ogniki jej grały mu bez noce. Gwiozdy suły sie niby ozrucony kyrdel w Chudym Uptazie. Przy izbak w Chycowym Potoku ni mog dychnońc żywo, jako we wierchu. Pocon rzednońc.

Aze namysłeli zabrać bace w Hole. Oradośniół. Som sie odzioł. Bukowe portki i cuzinka, jako zwół okrycie, przytulyły starość. Ik barwy jednały sie ze zburdanymi kudłami cłeka. Ocy zaświecieły żywobyciem.

Okłacki siana pościelyły zelazny woz. Łagodzieły kwardość jazdy. Po samom Kościeliskom Doline nie gwarzył. Na Polanie Zohradziskiej wypedzioł ino:

- Kieloz tyn świat piękny!

Zryktowane wcześniej włoki, z cłekem wywlekły konicki na Kozokowy Uptoz. Polana zieleniała. Dychała z kwieciem. Woniała holom. Spolnik, Jędrzej Cuj z Mientustwa, przywitół byłwego bace. Jako no-lezało. Sjon bapelus by przepedzić:

- Witojcie z Chrystem Panem. I pobośkoł starego w rynke.

We swoim sałasie spoturany niemocom usnon. Na dylak pościelonyk derkom. Dychoł żywo. Nie musioł nic konać. Synowi starcało jego bycie. Samo tak jako rodzinie i spolnikom. Markotność Kozokowa minena. Uptazem pocyna zaś włodać pastersko posługa. Jako downiej. Ino ozdobiono starościami.

Wojciech Gąsienica Byrcyn

Zarząd Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Chrzanowie wraz z Redakcją „Orła Skalnego” składa Panu serdeczne podziękowanie za długoletnią współpracę przy tworzeniu naszego kwartalnika mając nadzieję, że współpraca ta będzie w przyszłości kontynuowana.

Z tatrzańskim pozdrowieniem

Prezes Remigiusz Lichota

INDYJSKIE OBRAZKI

NIEBIESKIE TRUSKAWKI

17 lipca 2011

Osada Awantipur, Kotlina Kaszmirska, Himalaje, ok. 1300 m n.p.m.

Dobiega końca długa podróż dwoma „jeepami” z Jammu do Srinagaru. Jammu leży u południowego podnóża Himalajów, Srinagar w Kotlinie Kaszmirskiej, w głębi gór. Po drodze trzeba pokonać pasmo Pir Panjal, należące do Himalajów Zewnętrznych, którego szczyty przekraczają miejscami 4500 m n.p.m. Przełęcz Banihal, pod którą przejeżdżamy tunelem, ma ponad 2500 m n.p.m.. Z Jammu wspinaliśmy się dobrze ponad 2000 m, potem nieco krótszy zjazd. To dopiero zapowiedź prawdziwie wielkich gór. Ale i tak to nasze pierwsze spotkanie z transhimalajskimi drogami. Drogi jeszcze względnie szerokie, miejscami nawet z linią znaczącą środek drogi, osobowe auta mijają się bez specjalnego zwalniania. Ale już liczne serpentyny i strome podjazdy oraz zjazdy. Średnie tempo jazdy pomiędzy 30 a 40 km na godzinę. Jeszcze nie wiemy, że taka wygodna droga i tak znaczna prędkość podróżna w indyjskich Himalajach to czysta „rozpusta”.

Generalnie jesteśmy zmęczeni. Za nami nocna podróż z Arimitsaru autobusem, nad ranem (ok. 4.00) przesiadka do jeepów i już się robi popołudnie a do Srinagaru jeszcze kilkadziesiąt kilometrów... A tu kolejny postój. Znowu kontrola dokumentów, poprzednio kontrolowali nas dwie godziny temu, przed przełęczą. Cóż, Kaszmir.

Piotr powędrawał zatem załatwiać formalności, a naszego jeepa „opadają” natychmiast handlarze różnym towarem – odzieżą, dywanami, pamiątkami. My oczywiście odmawiamy, po pierwsze to początek podróży, kto to będzie nosił przez miesiąc, po drugie, nie mamy jeszcze pojęcia, co tanie, co drogie, wreszcie w planach jest trzy dni w Srinagarze i jesteśmy przekonani (jak się okazuje słusznie), że nabyć tam można to samo co tu, tylko taniej i większym wyborze. Jakiś wyjątkowo uparty facet usiłuje sprzedać nam oryginalny nóż. Podchodzi do auta to z lewej, to z prawej. Nie pomaga kilkunastokrotne: „no, no thank you” oraz demonstracyjne zasuwanie szyby. Prezentuje nóż przez szkło i coś tam wykrzykuje. Pojawia się pomysł, by ów nóż nabyć i natychmiast wykorzystać na sprzedawcy... Ale najbardziej upierdliwi się sprzedawcy owoców. Jabłka, jakieś śliwki, coś brzoskwiнопodobne, ananasy... Wpychają się wręcz z nimi przez okna do samo-

chodu, a ile można wytrzymać w upale z zasuniętymi szybami? Wiedzą skurczybyki, że gorąco i pić się chce... Owoce nawet wyglądają apetycznie. Ale co z tego, jeśli nie mamy dostępu do wody, by je umyć., o własnych brudnych rękach już nie mówiąc. To jeszcze ten etap wyjazdu, że w żadnym razie nie jemy nic nie mytego. Jeszcze niektórzy wciąż myją zęby w wodzie butelkowanej, aby się nie zatruć tą z kranu... A wieść owoce w aucie na nocleg, też nie ma sensu, dość mamy innych bagaży do transportu, by jeszcze wozic dodatkową torbę z miękką zawartością... Więc odmawiamy. Faceci odchodzą, wydawałoby się zrezygnowani, ale mijają dwie minuty i znowu podchodzą...



Fot.44 Mieliliśmy dobre chęci. A że truskawek nie ma...

Wreszcie wpadamy na pomysł, by zamiast odmawiać, zacząć pytać o owoce, których na pewno nie mają. Ktoś wpada na pomysł – truskawki! I już po chwili kolejny natarczywy sprzedawca słyszy pytanie: Have you strawberries? Eureka! Widzimy na własne oczy, jak facet „wymięka”. Truskawki? Jakie truskawki? Nie ma. Nie ma? Sorry, my lubimy tylko truskawki. I sprzedawca odchodzi bez słowa.

Metoda działa bez pudła też na następnych. Nawet na upierdliwego sprzedawcę noża, który też przecież nie ma truskawek. Co prawda któryś z rzędu usiłuje ratować sytuację, twierdząc, że „truskawki skończyły się”. Ale to my jesteśmy górą. Rozkładamy ręce. Przecież chcieliśmy kupić, mieliśmy dobre chęci. A że truskawek nie ma...

Wokół auta panuje względny spokój. Żartujemy, że poszli pewnie po truskawki i zaraz je w ilościach hurtowych przyniosą. Jeśli tak, to kupimy – deklaruję – w końcu naprawdę lubię truskawki... Ale nie przynieśli i

więcej się nie objawili; metoda okazała się skuteczna. Nie tylko zresztą tu. Powiedzonko przyjmuje się w całej grupie. Pytaniem „Have you strawberries?” w późniejszych dniach będziemy zaskakiwać jeszcze niejednego natrętnego handlarza. W Srinagarze, w Leh, a nawet w Agrze czy w Delhi. Tadekowi udaje się nawet odnaleźć truskawkową gumę do żucia... Ale nic więcej.

Pojawia się natomiast koncepcja, że zgodnie z zasadami handlu popyt powinien wywołać podaż i dlatego w następnym roku stoiska owocowe w północnych Indiach będą roić się od truskawek, specjalnie sprowadzanych dla lubiących je Polaków. Pojedziesz w przyszłym roku z następną grupą, a tu sprzedawcy przyniosą same truskawki. Co wtedy zrobisz? – pytamy żartem Piotra. „Wiesz cooo? – odpowiada Piotr – „powiem, żeby przynieśli niebieskie”...

BEZ GEOGRAFII JESTEŚ NIGDZIE

24 lipca 2011

Okolice osady Panamik, dolina rzeki Nubry, Karakorum, ok. 3150 m n.p.m.

Po emocjach wariackiej drogi prowadzącej przez przełęcz Khardung La, a potem miejscami „z górki na pazurki” do majestatycznej doliny rzeki Shyok, jedziemy w górę doliny jej dopływu – Nubry. Tu już, z północnej strony rzeki Shyok, na pewno wjechaliśmy w Karakorum, nawet jeśli uznamy, że pokonywane przez ostatnie siedem godzin Góry Ladakh do niego nie należą.



Fot.45 Dolina Nubry szeroka, rzec można majestatyczna...

Droga daje wytchnienie skołatanym nerwom. Biegnie samym dnem doliny, nijakiej ekspozycji, nawet asfalt i jakby dziur mniej. Miejscami osiągamy zawrotne tu prędkości 50-60 km na godzinę. Dolina Nubry szeroka, rzec można majestatyczna, wyraźnie polodowcowa, szerokie dno i strome zbocza.

Jedziemy w kierunku dla nas nieco mitycznego miasteczka Panamik. Dlaczego mitycznego? Bo dalej je-

chać się nie da – zamknięta strefa wojskowa. Jeszcze parę miejscowości, a raczej baz wojskowych powyżej, jeszcze kilkanaście kilometrów wyżej w miejscowości Sasoma odbija trakt w kierunku doliny górnego Shyok i słynnej przełęczy Karakorum, za którą już zjazd w kierunku Kotliny Kaszgarskiej. W górę doliny Nubry koniec wielkiego karakumskiego lodowca Siaczen, będącego zresztą od kilkudziesięciu lat miejscem utarczek wojsk pakistańskich i indyjskich. Ale także punktem startowym wypraw w drugie po Himalajach najwyższe góry świata...



Fot.46 Piotr wiedział, co mi pokazać...

No i Panamik to najdalej wysunięty na północ punkt naszej wyprawy. Czyli tu najdalej mamy dotrzeć w głąb lądu Azji, w sumie niedaleko (coś to jest w skali Azji niespełna tysiąc kilometrów) do jej geometrycznego środka. Gdzieś z przodu co pewien czas pojawiają się białe, pokryte śniegami i lodowcami, ostre szczyty. To już na pewno główna grań Karakorum.

Nagle nasze auto się zatrzymuje i Piotr każe wysiadać. Czyżby już Panamik? Ale nie, droga jak poprzednio, biegnąca przez pokrytą rzadkimi kępami trawy szeroką dolinę i żadnych domów. Piotr triumfalnie prowadzi nas do żółtej tablicy z boku drogi. To jedna ze świetnie znanych nam już z naszego peregrynowania po północnych Indiach tablic, wystawionych przez BORDER ROADS ORGANIZATION (organizację dróg pogranicza) HIMANK. Tylko zamiast typowej dla tych tablic jednej z maksym, namawiających do ostrożnej jazdy, widnieje tu hasło: WITHOUT GEOGRAPHY YOU'RE NOWHERE czyli BEZ GEOGRAFII JESTEŚ NIGDZIE. I poniżej autor maksymy JIMMY BUFFETT. Nie mam pojęcia kto zaczął ów J. Buffett, dopiero w kraju, w Internecie sprawdziłem, iż bynajmniej nie geograf ani nawet naukowiec innej branży, lecz muzyk.

Nieważne czyja, ważne, że maksyma wspaniała. Piotr wiedział, co mi pokazać. Stoję chwilę przy tablicy i dumam. W końcu geografem chciałem być od chwili gdy miałem lat jedenaście i pozostałem zrodzonym w dzieciństwie pasjom przez całe życie wierny. I przecież

na początku geografia była dla mnie po prostu mapami, nad którymi spędzałem długie godziny, wypisując pracowicie do zeszytu różne obiekty: miasta, góry, rzeki... I były też nierozzerwalnie związane z tymi mapami marzenia, że kiedyś te różne miejsca i obiekty na własne oczy zobaczę. A potem poszedłem na studia, i dowiedziałem się, że ważniejsze od pytania „gdzie co jest?” jest w geografii pytanie „dlaczego tam jest” I nie wolno sprowadzać geografii do wiedzy „krzyżówkowej” typu: „rzeka w Polsce na pięć liter, pierwsza „w”. ostatnia „a”, nie wiesz Jarek co to jest? I jest to jakaś racja. Ale z tą racją przyszło też nieco lekceważące traktowanie wiedzy o położeniu różnych obiektów, czyli geografii regionalnej. I chociaż akurat ją m.in. wykładam na Uczelni, chociaż jeden z kolegów rzucił kiedyś publicznie hasło „to jest taka rzeka, której nawet Jarek Balon nie zna”, co uznałem za ogromny komplement, to jednak tkwiło we mnie takie podświadomie przekonanie, że „co gdzie leży to może nie jest takie ważne i są przecież ważniejsze aspekty geograficznej wiedzy.



Fot.47 Kiedyś, w młodości marzyłem, pochłaniając opisy wypraw alpinistycznych, że może kiedyś, że może ja...

A tu nagle ów nieznany mi zupełnie J. Buffett, pokazał, że to niezupełnie tak. Że nie wiedząc gdzie jesteś, jesteś nigdzie. Że geografia pozwala określić człowiekowi swoje miejsce w świecie, że bez niej tego miejsca po prostu nie ma. Że my, geografowie, tak często pełni kompleksów w stosunku do innych dyscyplin badawczych, naprawdę nie mamy powodów do nich. Bez geografii człowiek jest nigdzie. To przecież prawda. A jest ona jeszcze bardziej oczywista tu, w sercu Azji, w Dolinie Nubry, na naszym małym, lokalnym, ale jednak rzeczywistym końcu świata. Dzięki Piotrze, żeś nas tu przywiózł i nam to pokazał...

Spoglądam z nad tablicy ku północnemu zachodowi. Zaraz, czyżby ten potężny zaśnieżony masyw widoczny – niby daleko, ale przecież blisko – to już drugi szczyt świata – zwany K2, Czogori albo Godwin Austen (8611 m n.p.m.)? Znajduje się przecież właśnie wprost w przedłużeniu doliny. A może to jednak nie on,

ale bliższy, też potężny siedmiotysięcznik Salto Kangri (7742 m n.p.m.)? Kto wie? Pytam Piotra, ale nie jest pewny. Cóż, może lepiej zapamiętać, że widzieliśmy słynny K2, nawet jeśli to nie był on? Kiedyś, w młodości marzyłem, pochłaniając opisy wypraw alpinistycznych, że może kiedyś, że może ja... Dziś wiem, że już tam nie wejdę i pewnie nawet nie będę próbować. Ale może chociaż go zobaczyłem, tak jak w dzieciństwie marzyłem, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w mapę Azji.

O czterdzieści lat starszy, wpatruję się w robione w Dolinie Nubry zdjęcia. Tak, to naprawdę może być K2. Więc naprawdę byłem i widziałem. Byłem w Dolinie Nubry, byłem w Panamik, byłem w Karakorum. Wiem to właśnie dzięki geografii, bez której cóż, byłbym nigdzie.

ANEKS KAPIELOWY

29 lipca 2011

Wioska Hemis Shukpachan, Góry Ladakh, Karakorum, ok. 3650 m n.p.m.

Kończymy drugi dzień wędrówki naszego trekkingu. Dzień okazał się zdecydowanie krótszy od poprzedniego. Może dlatego, że trasa była krótsza, po drodze tylko jedna przełęcz – Sarmanthang La. A może krajobrazy były ciekawsze, choćby forsowanie rwących potoków po wąskich kładkach. A może nabraliśmy już wprawy w łażeniu w upale z plecakami na wysokości ponad trzy i pół kilometra nad poziom morza.



Fot.48 Nasze kolejne miejsce noclegowe – wioska Hemis Shukpachan...

Nasze kolejne miejsce noclegowe – wioska Hemis Shukpachan (nie mająca nic wspólnego – jak nam wyjaśnił Piotr – z odwiedzanym wcześniej słynnym klasztorem Hemis) jest zdecydowanie bardziej rozległa niż poprzednia – Yangthank. Domów może nie jest tu specjalnie więcej, ale stoją z dala od drugiego, każdy na swojej odrębnej działce, otoczonej murkiem z kamieni. W obrębie działek, tuż przy domach – uprawy.

Ponieważ docieramy do wschodniego krańca wioski, a nasz nocleg jest po stronie zachodniej, chwilę wędrujemy siecią dróg i ścieżek pomiędzy kamiennymi murkami. Wczesnym popołudniem docieramy do naszej kwatery. W samą porę, dające nieco cienia przed południem chmury wyraźnie się rozeszły i żar leje się z nieba. A tu pełen luksus – poniżej domku gospodarzy ogródek z kilkoma stolikami pod dającym cień namiotowym dachem; obok rodzaj przybudówki; tam pewnie nasze pokoje. Z drugiej strony dwie budki, których nie sposób z niczym, pomylić. Zresztą napisy „ladies” i „gents” nie pozostawiają wątpliwości. Pełna kultura. Pomiędzy sławojkami zawieszono na metalowym ogrodzeniu rogi. Oczywiście robimy sobie zdjęcia. W naszym wieku to już nie taki wielki problem zostać rogiaczem...



Fot.49 Wracamy z niczym, za to z ciekawymi zdjęciami...

Rozkładamy bety przy stolikach, Piotr i nasz trekkingowy przewodnik Norbu negocjują ceny a my oddajemy się lenistwu. Znowu – który to już raz – błogosławieństwo pomysłu, dzięki któremu jestem, pierwszy raz od lat, na wyjeździe, który ktoś inny organizuje i nikt nie ogląda się na mnie, gdy trzeba coś załatwić. Prawdziwy urlop...

Negocjacje trwają. Po chwili – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – pojawia się w wiaderku zimnej wody piwo i inne chłodne napoje. Zagryzamy nim nasze kabanosy. Można uznać, że to nasz dzisiejszy lunch. Rozpusta. Nigdzie się nam nie spieszy. Henia i Tadek fascynuje metalowy zbiornik z wodą, a ściślej mały złoty kranik przy nim, będący „w całości” kurkiem: przekręcony w lewo – woda płynie, przekręcony w prawo – woda przestaje płynąć. Ta fascynacja przetrwa do końca pobytu, panowie odnajdą potem w Delhi stosowny sklep i zakupią sobie po egzemplarzu... Za jakiś czas pojawia się Piotr i mówi, że cena wydaje mu się zbyt wyśrubowana, zamierza poudawać, że szuka innego noclegu. Przyjmujemy to ze spokojem, wiemy, że sobie poradzi i nie wylądujemy „pod chmurką”. Piotr w ogóle, jak zresztą zawsze, reprezentuje „siłę spokoju”.

Tłumaczy, że zna teren, że był tu już w tej wiosce dwa lata temu. Akurat w tym momencie pojawia się mała dziewczynka, jakiś rok z hakiem. Jest co prawda na ramionach ojca czy dziadka, ale to nie przeszkadza. Natychmiast pojawia się koncepcja, że ma ona jakiś związek z poprzednim pobylem Piotra. Kilka osób sugeruje nawet wyraźne podobieństwo, choć dziewczynka ma wyraźnie tybetańskie rysy twarzy. O zobacz, puszcza oko zupełnie jak Ty... Piotr ze śmiechem ogania się od nas i w końcu znika, niby poszukiwać innego noclegu. My też postanawiamy odbyć mały spacer po wiosce, może poszukać sklepu. Trzeba uzupełnić zapasy butelkowej wody i może nabyć jakieś orzeszki, które „chodzą za mną” już od jakiegoś czasu. Spacer jak spacer, sklepy są, nawet dwa. W jednym były (dosłownie) tylko cukierki i chipsy, drugi natomiast był zamknięty. A raczej był otwarty, tylko nikogo w środku nie było. Moglibyśmy wynieść ze środka wszystko i nie wiadomo, czy ktoś by zauważył. Nikogo nie ma w okolicy, pewnie dlatego, że szczyt upału, piętnasta. Wracamy z niczym, za to z ciekawymi zdjęciami. M.in. siedzącego po turecku autochtona, modlącego się z użyciem dużego młynka modlitewnego.

Jako że negocjacje trwają dalej, zasiadamy ponownie przy stolikach i oddajemy się brydżowi. Panie sromotnie przegrywają. Ponieważ jak wiadomo, kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma podobno szczęście w miłości, wszystko wskazuje na to, że są silnie kochane przez swoich mężów... Potem karta się „obraca” i już nie wiadomo, kto kogo kocha, a kto nie. Nieważne, bo „przetrzymany” gospodarz nieco spuszcza cenę i możemy się kwatrować. Dyziowie wędrują w czwórkę do obszernego pokoju w domu gospodarza, pozostałe trzy pary mają do wyboru trzy „dwójki” w przybudówce. Ale, jak relacjonuje Piotr, dwie z nich dysponują „aneksem łazienkowym”, a jedna nie. Postanawiamy zagrać w marynarza. I cóż, sromotnie przegrywam, idziemy z Jolą do pokoju „bez aneksu”. Heniowie obok do pokoju z aneksem... Po chwili słyszymy ryk śmiechu. Heniu woła nas i pokazuje ów aneks. Jest to rzeczywiście odrębny pokój, nawet z oknem. W nim nagie ściany, wiadro do którego można przynieść sobie wodę i malutki otwór w kacie, którym owa woda po umyciu może odpłynąć...

Następnego dnia – po drodze była obiadokolacja z zupą pomidorową, prażoną kukurydzą, ryżem pieczonym z dodatkami, oraz długie śpiewanki w pokoju Dyziów, w trakcie których Michał ogrywał naszego przewodnika Norbu w makao – rankiem spotykamy się z Heniem przy złotym kurku i wspólnie dokonujemy ablucji. Nie skorzystał z aneksu łazienkowego. Widać pobyt w Indiach spowodował, iż Heniu odwykł od luksusu.



Kartki z dziennika podróży cz.3 czterech rowerzystów do Syrii i Libanu

Baalbek, 3 maja 2011

Dziś miał być jeden z cięższych dni, dlatego zarządziliśmy wstawanie o świcie. Po czwartej naszego czasu. Ponad sto kilometrów i góry Antylibanu do pokonania, plus nie wiadomo ile na granicy. I stuprocentowo pewny zły wiatr. Ostatnie trzy dni były ciągłymi transferami, więc zasłużyliśmy by dać sobie w kość.

Wyjazd z Damaszku był koszmarem. Tutaj normą są samochody jeżdżące pod prąd na dwupasmowych jezdniach. I roztrąbiony tłok przed tobą, obok, i za tobą. Pojawiające się z bocznych dróg bez uprzedzenia wpychające się auta. I przerażający smród spalin, jakiego nie pamiętam od lat, bo u nas benzyna jest już innej klasy. Czarujący był dziś za to błękit nieba. Pierwszy raz było krystalicznie czyste. Z tej podróży odniosę wrażenie, że bliski wschód należy do dość rześkich regionów świata.



Blisko pół setki kilometrów podjazdu. Dość łagodnego, bo na tym dystansie wspięliśmy się na około kilometr. Pędziłem niesiony jakąś dziwną energią. Traktując wiatr jako czynnik chłodzący, a nie wroga.

Syria pożegnała nas opłatą wyjazdową. Niby kilka euro, ale poczuły się dość dziwnie. Te marsowe twarze celników. Nieprzyjemne wrażenie. Dlatego tak bardzo uderzający był luz na granicy Libańskiej. Przystojni żołnierze szybko powbijali pieczętki wizowe (choć Mirek nie dowierzał, że na tej granicy nie zostawimy jakiegś opłaty czy bakszyszu), celnik zażartował sobie, że tacy ja my – rowerzyści, są obecnie w Libanie porywani, cinkciarz wymienił pieniądze po uczciwym kursie i wjechaliśmy do kraju cedrów. Myślę, że rowerzyści z sakwami weszli już do libańskiego języka potocznego jako „estonian”. To od siedmiu estońskich rowerzystów porwanych niedaleko przejścia granicznego półtora miesiąca temu. Zniknęli zostawiając rowery na poboczu. Bez śladu jak dotąd. Jechaliśmy doliną Bekaa i nas nawoływali – estonian, estonian... Z przejeżdżających aut, z zakładu wulkanizacyjnego. Z sympatią. Tajniak na przejściu granicznym wypytał nas o dokładną drogę na dziś, kilkakrotnie mijając radiowozy policyjne, wreszcie kilka wojskowych check point'ów z transporterami opancerzonymi.

Przez kilka kilometrów miałem nadzieję, że to trochę bardziej europejski kraj niż Syria. Zboczyliśmy z drogi, żeby zobaczyć ruiny rzymskiej twierdzy. Wjechaliśmy w krajobraz i zabudowę przypominającą bardzo to co widzieliśmy w szerokich alpejskich dolinach w północnych Włoszech. Niestety to wrażenie – dobrej, zadbanej architektury, porządku, strzyżonych trawników dotyczyło raptem kilku kilometrów. Potem znów wjechaliśmy w dziadostwo i bałagan – w nigdy nie sprzątane śmieci z poboczy, w namiotowe slumsy uchodźców palestyńskich, nachalnych dzieciaków sprzedających koszulki Hamasu i wielkich plakatów miejscowych ojców Rydzyków.



Popołudnie wiatr nas już niósł, choć wciąż zniecierpliwieni nie widzieliśmy celu podróży, w szerokiej na dziesiątki kilometrów, płaskiej prawie jak stół dolinie z szalonym ruchem samochodowym. Czułem jak po plecach ściekają kropelki potu. I czułem się z tym wspaniale.

Baalbek był zaskoczeniem – pojawił się zza zakrętu piorunujący krajobrazem rzymskich ruin miasta i świątyni. Światowe dziedzictwo.

Faradye, 4 maja 2011

Mieliśmy być w innym miejscu. Inną drogą i pewnie o innym czasie. Piszę w norze, jaka zwykle jest wynajmowana syryjskim robotnikom sezonowym. Wszystko przez to, że zrobiło się ciemno, hotele jakie napotykaliliśmy chciały nas złupić, bo rozpadła się deszcz, bo chłopaki nie mają namiotu. Bo podjazd był za długi, bo wpadliśmy na pomysł, żeby zjechać, jak przypuszczam, z ostatniej góry na trasie w kierunku przeciwnym do naszego celu, żeby się przekonać, że to nie miało absolutnie żadnego sensu i tylko powiększyło nasze problemy. Ale od początku.

Zaczęliśmy z opóźnieniem. Dzień taki jakiś mglisty. Muzeum – rzymskie świątynie Bachusa, Jowisza i Ateny. Piękne ruiny, wspaniale zachowane. Otoczone dobudowaną w czasach krucjat cytadelą. Wolniutko, z kontemplowaniem obrazów, tłumaczeniem opisów, zdjęć.

Przed wyjazdem postanowiliśmy dopytać się drogi. Zrzędlą nam mina, kiedy okazało się, że nasz szlak przez rezerwat cedrów

jest zamknięty. Wciąż zasypany śniegiem. Ruszyliśmy alternatywną drogą, gubiąc się co chwila. Czas mijał, a my wolno kręciliśmy na koszmarnym, monotonnym podjeździe z wiatrem w twarz. Coraz zimniej, coraz wyżej, coraz bardziej zmęczeni. Przełęcz była wysoka niczym Krzyżne, a ruszaliśmy z wysokości Myślenic. Drugim problemem był pofałdowany płaskowyż z kolejnymi wycięzającymi podjazdami. O 17-tej byliśmy dopiero na początku zjazdu. Poprzetykanego dość stromymi podjazdami. Były momenty, że miałem wszystkiego serdecznie dość.



Kiedy wspięliśmy się na cholernie stromy podjazd, za którym był zapewne zjazd prosto do morza, Mirek z Jurkiem zarządzili odwrót. Uczępili się jakiejś myśli, którą poddał im sprzedawca na stacji, że hotel Montana kilka kilometrów do tyłu jest czymś czego szukamy. Próbowałem przez telefon wynegocjować z właścicielem hotelu jakiś discount. Wolał nie zarobić 50 dolarów, bo uparł się na 100. Głupek.

Sprzedaliśmy nasz problem grupce lokalnych ludzi pod sklepem. Tak trafiliśmy do nory dla Syryjczyków. Za „co łaska”. Standard dwa razy gorszy niż pamiętny erewański hotel „Sebastian” – nora niczym z wenderowskiego „Milion Dollar Hotel”. Jakimś dodatkowym bonusem było spędzenie blisko godziny w mieszkaniu libańskiej rodziny. Jakże zwykłym, z kawą, z herbatą w kubkach, z wciąż gasnącą elektrycznością, bo Liban oszczędza na prądzie. Z łamanym angielskim gospodarza...

Trypolis, (Tarabalus) 5 maja 2011

Okazało się, że miałem słuszość z przewidywaniem, że za nieszczęsną górką droga będzie prowadziła wyłącznie w dół. Aż do zagotowania się hamulców. Ale dobrze, że zostaliśmy. Nie tylko z powodu przygody, ale również dlatego, że te przedmieścia Bejrutu są luksusowym kurortem, w którym widziałem w ciągu jednego dnia więcej Masseratti Quattroporte, niż w całym swoim życiu. Tak jak opisywał Robert Kaplan w swojej książce – „Na wschód od Tatarii”. Pewnie w tym miejscu mielibyśmy problem ze znalezieniem noclegu w rozsądnej cenie.

Poza tym ostentacyjnym i bezczelnym bogactwem widzieliśmy obok siebie koszmarną beładną industrializacji i urbanizacji jednego z najpiękniejszych, wapiennych wybrzeży Morza Śródziemnego. Monstrualne budynki z betonu, asfalt, stal, wszechobecny nieład. Wszystko zatopione w smogu, który jawił się z daleka jak żółta poduszka, a potem był już tylko gryzącą gardła zawiesziną.

To był dzień jadowitego słońca. Z godziną, którą poświęciliśmy w cieniu, by nie dać się zanadto pokąsać. W Babylos obejrzeliśmy ruiny twierdzy krzyżowców zastanawiając się nad bezsensu krucjat. To nawet nie kwestia strat ludzkich, ale potężnych pieniędzy jakie zostały poświęcone dla obłąkanej idei. Te wojny nie przyniosły niczego dobrego.

Jechaliśmy ponad 60 kilometrów wybrzeżem, które jest żywym dowodem, że niektórym nacjom należałoby zakazać budowania czegokolwiek. Praktycznie każde dzieło „architektury” było niedopuszczalne i nieakceptowalne. Najgorsze były turystyczne blokowskie jak z folderów biur podróży. Nigdy w życiu... Niestety jedynie kilka kilometrów wybrzeża zostało pozostawione przyrodzie. I wówczas jest ono urzekające.

Trypolis, miasto – pierwsza siedziba OWP i Arafata jest arabskim tygłem, z całym jego urokiem i odrzuceniem. Mirek, który wyznaje tezę, żeby nigdy nie siedzieć, tylko chodzić, bo siedząc nic się nie wysiedzi wrócił z buszowania po mieście po kilku minutach. Nie było w nim nic atrakcyjnego, czego nie widzielibyśmy gdzie indziej. Za to śpiemy w cudownie czystym hoteliku prowadzonym przez dwie panie – jedną starszą i drugą jeszcze starszą, w którym zatrzymaliśmy się dzięki talentom negocjacyjnym Mirka, i nieskromnie przyznaję się moim, gdyż udało nam się zbić wywoławczą cenę 120 dolarów do 70. Pod rygiem zachowania tej wiedzy przed innymi turystami.

Jutro wracamy do Syrii. Będzie piątek.

Craux de Chavaliers, 6 maja 2011

Są fragmenty podróży jakie chciałoby się zapamiętać w sposób nieograniczony – okruchy obrazów jakie pozostają tylko w pamięci, bo żadne zdjęcie nie tylko nie jest w stanie oddać ducha miejsca, a czasem wręcz je trywializuje. Mam kilka takich wrażeń z dziś choć nic ich nie zapowiadało. Bo przecież opuszczaliśmy miejski koszmarny Trypolis w najbardziej miejski sposób – w ciągnącym się robaczywym cieple korka pełnego śmierzdzących mniej i śmierzdzących bardziej pojazdów, ruszających, zatrzymujących, zwalnających bez ostrzeżenia. Mirek chciał się wydostać jak najprędzej dlatego naley na tę niby autostradę, pełną progów zwalniających i dziur zamiast krętej nadmorskiej drogi. Kłęliśmy jak szewcy, a sam autor pomysłu autostrady oberwał otwieranymi drzwiami parującego mercedesa.



Potem jechaliśmy między betonowymi jersejami samym brzegiem morza, mając po lewej seledynowo-błękitną poezję błysków i odbić słońca. Odwracałem wzrok od prawego pobocza zawalonego śmieciami, spalonymi wrakami aut, oponami. Całym tym syfem jakie otacza arabskie miasta. Jadąc w głąb doliny aleją platanów tak starych, że sadzonych jeszcze za francuskiej „okupacji” wstrzymywałem oddech nie mogąc wytrzymać smrodu gnijących w rowach odpadków. W ogrodach rozstawione dziesiątki, setki namiotów uchodźców palestyńskich, z umorusanymi, rozkrzyczanymi dziećmi i mężczyznami snującymi się całe dnie bez celu i potrzeby.

Podobne miałem wrażenie obserwując wieczorne życie Trypolisu – nic nie robiący mężczyźni, czasem roztawieni na jezdni ze swoimi fajkami wodnymi, nie zwracający uwagi na otaczający ich bałagan. Czy poczułem ulgę wjeżdżając do reżimowej Syrii? Do kraju, który strzela do swoich obywateli, kraju ludzi krótko trzymanych na smyczy, ale mimo tego znacznie bardziej uporządkowanego niż Liban? Tak. Przedzierając się przez kolejne etapy granicznej odprawy, patrząc na paluchy strażników miętłące mój paszport, kolejny raz zeznając jaki jest mój zawód, wymieniając kolejno nazwy hoteli, w których będziemy się zatrzymywać, czując się indoktrynowany, sprawdzany czułem się dobrze. Znam reguły. Jakiś porządek jednak tu panuje. Pozostawienie ludzi samym sobie doprowadzi do tego co działo się w Libanie w latach 80. i 90.

Wiatr niósł nas jakąś piękną doliną, na którą trafiliśmy zupełnie przypadkowo myląc drogę. Mapa podpowiedziała, że jadąc nią również można dotrzeć do naszego zamku krzyżowców. Więc pięliśmy się pustą, szeroką asfaltową aleją najpierw w platanowym lesie. Tak – platanowy las – pierwszy raz widziałem coś tak pięknego – gęste runo z bluszczem wspinającym się na nagie pnie platanów. Ten obraz zdjęcie mogłoby tylko sprofanować. Z czasem drzew było coraz mniej a wąska dolina z tarasami wypełniła się kwitnącymi łąkami. Z białym miastem na horyzoncie. Z meczetami, minaretami i kopułami.



Kilka kilometrów dalej byliśmy już na podejździe do zamku Kawalerów Krzyżowych. Potężna, niesamowita, górująca nad kilkoma dolinami twierdza. Nigdy nie zdobyta, choć próbowano ją zamorzyć głodem. Zamek Ryszarda Lwie Serce. Wyobrażam sobie jakie musiał ten kolos z wapiennej skały robić wrażenie na ówczesnych. Jesteśmy tu jedynymi turystami. Niepokoje w Syrii wymiotły stąd wszystkich.

Aleppo, 7-8 maja 2011

Nie wyglądało na to, że sobota będzie doskonałym dniem, jakie się zapamiętuje na długo, bardzo długo. Pewnie będzie stanowił klatkę z filmu życia jaka się ukazuje w ostatniej chwili.

Pochmurny, chłodny ranek. Niespieszny, zawsze jak wówczas gdy zmęczenie nie odeszło wraz ze snem. Sączący się powoli. Inaczej wyobrażałem go sobie. Jak długą, odpoczynkową i niezbyt atrakcyjną jazdę przez interior. Coś w stylu zapuszczonej mołdawskiej prowincji.

Zgubiliśmy kilkaset metrów wysokości na zjeździe spod twierdzy. Nasza droga zamiast wznosić się nieznacznie w głąb doliny poszybowała natychmiast jakimś koszmarnym podjazdem znacznie powyżej zamku. Nachylenie tak wielkie, że zabrakło mi biegów. Wszyscy byliśmy zaskoczeni. Nierozgrzane mięśnie szybko dały o

sobie znać kwaśnym bólem. Na górze na przepocone polary założyliśmy Gore-Texy. Chmury dosłownie ocierały się o nasze głowy siąpiąc lekkim deszczem. Nic się nie zgadzało – kierunek drogi, kierunek wiatru, pogoda, której nie było. Była tylko niezniszczona betonem przyroda, wspaniałe sosny o długich igłach, naturalnie rosnące cypysiki i morze wiosennych kwiatów. To jest najlepszy tydzień w tym klimacie – apogeum wiosny zanim przyjdą przerażające upały. Erupcja zieleni i kwieciwa. Na chwilę zanim wypali je do cna słońce. Gdybym był krzyżowcem, który pojawił się o tej prze roku w Syrii – zakochałbym się w tym kraju i nie chciałbym wracać nigdy do wilgotnej Brytanii czy północnej Francji.

Po kilku kilometrach meandrowania – również wertykalnego – drogę rozświetliło słońce. Ostro jaskrawe. Dla mnie tym bardziej, że oglądałem świat przez pomarańczowe szkła okularów. Ten cieplejszy odcień rzeczywistości tak mi się spodobał, że zostałem z nim do końca dnia. Zielen zyskała na intensywności, błękit był pełniejszy, wapienne skały przybrały miękkości. Zagubiliśmy się. Wróciliśmy stromymi podjazdami na dobry szlak nie czując złości. Dane nam było przyjrzeć się jeszcze raz wypielegnowanemu krajobrazowi. Nie pomyliłem się pisząc te słowa – ta górská część Syrii zyskała na tknięciu jej przez rękę człowieka. Dlaczego akurat tam? Zagadka wyjaśniła się, gdy w przydrożnym sklepiku natrafiliśmy na piwo i wino. Chrześcianie. Okolica od zawsze zamieszkała jest przez wyznawców Chrystusa. Widocznie dla potomków arabskich nomadów niedbałość o ziemię jest tym co pozostało im we krwi.

Wiatr popychał nas łagodnym zjazdem w dół doliny. Zrobiłem kilka zdjęć, ale tak jak przypuszczałem nawet w ułamku nie oddały tego co widziałem. Nawet kilka bolesnych podjazdów, po których całe ciało pokrywało się warstwą potu nie psuło nastrojów. Dotarliśmy do miejsciny, w której wjeżdżaliśmy już w nizinny obszar ciągnący się w stronę pustyni syryjskiej. Szybka szwarma (tutejszy kebab) i w drogę. Ostatnie 45 kilometrów.

Jechaliśmy w zupełnej wietrznej ciszy. To znaczy wiatr wiał z całą mocą, ale nasze prędkości się zrównały. Stanęliśmy na pedałach by zamienić nasze ciała w jeszcze większe żagle. Kilkanaście kilometrów nie zakręciłem nawet raz korbą... Zbliżał się wieczór, świat nabrał kontrastów, światłocienia. Nawet pudełkowa architektura mijanych miejscowości zyskując przestrzenności w grze cieni nabrała pewnej urody.

Do Hamy wjeżdżaliśmy od zachodu. Spokojne, zadbane miasto. Potem dowiedzieliśmy się, że podobno wczoraj była manifestacja, strzały i ofiary śmiertelne. Niestety są to informacje zupełnie niepotwierdzone. Przez całą naszą podróż nie napotkaliśmy praktycznie żadnych śladów rewolucji, niczego nie widzieliśmy, tylko słyszeliśmy lub przeczytaliśmy w gazetach internetowych. Zmilitaryzowany Liban wydawał się bardziej niespokojny niż Syria.

Zapakowaliśmy się do autobusu, żeby dotrzeć o zmroku do Aleppo. Na dworcu autobusowym otoczył nas tłum roześmianych taksówkarzy, którzy oferowali podwózkę. Podziękowaliśmy grzecznie. Jeżdżenie rowerem po Aleppo w dzień jest przeżyciem, jazda nocna to jest jak sport ekstremalny. Adrenalina, emocje, napięcie i satysfakcja. To żywe miasto, po zmroku ożywa jeszcze bardziej.

Hotel opustoszał. Byliśmy jedynymi gośćmi. Kiedy wszedłem na górę gospodarz uśmiechnął się i zadał pytanie ilu nas jest? Odpowiedziałem, że wciąż czterech. Żaden nie zginął, żadnego nie porwali.

Przez Koło Podbiegunowe na Lofoty

Zobaczyć Neapol i umrzeć! To powiedzenie nie sprawdza się w naszych czasach. Neapol, niegdyś piękny i wymarzony cel podróży, dziś okresowo ginie pod zwałami śmieci. Podobnie jak i park narodowy na pobliskim Wezuwiuszu, gdzie sterty odpadów leżą tuż przy górskiej drodze wiodącej pod krater wulkanu.

Są za to w Europie miejsca, do których można zastosować to stare powiedzenie. I lepiej nie umierać po pierwszej wizycie, lecz ponownie tam pojechać. Na pewno należą do nich norweskie Lofoty.

Archipeląg obejmuje pięć głównych wysp na Morzu Norweskim. Kolejno z NE na SW są to: Austvågøya (pow. 526,7 km²), Gimsøya (pow. 46,4 km²), Vestvågøya (pow. 411,1 km²), Flakstadøya (pow. 109,8 km²) i Moskenesøya (pow. 185,9 km²) oraz kilka mniejszych wysepek. Mieszkańcy Lofotów (około 24,5 tys.) trudnią się z pokolenia na pokolenie rybołówstwem i przetwórstwem ryb. W ostatnim okresie turystyka zaczyna stanowić istotne źródło ich utrzymania.



Fot.50 W porcie rybackim Henningsvaer na Lofotach

Pomimo, że Lofoty leżą za Kołem Podbiegunowym, panują tu łagodne i sprzyjające do życia warunki klimatyczne. Sprawcą umiarkowanego, choć chłodnego i wilgotnego klimatu, jest płynący u zachodnich wybrzeży Norwegii, z południa na północ, ciepły Prąd Zatokowy (Golfström), zwany w tej części Oceanu Atlantyckiego Prądem Norweskim. Powoduje on największe na kuli ziemskiej anomalie klimatyczne. Na tych samych szerokościach geograficznych temperatura powietrza może być do 25 stopni niższa, aniżeli na zachodnim, ogrzonym prądem, wybrzeżu Norwegii. Dlatego właśnie średnie temperatury roczne wynoszą w Svolvær - stolicy Lofotów, aż od 4,7 do 7,1 ° C. Zimy są tu łagodne, przy temperaturze średnio -2 do +3 stopni C. Latem temperatury wahają się od 9 do 16 stopni C, co sprzyja wędrownicom, a nawet zwolennikom orzeźwiających kąpiei w Morzu Norweskim.



Fot.51 W górach nad Forsfjorden

Wtedy to wielu turystów przybywa na Lofoty, by cieszyć oczy niespotykanymi gdzie indziej w świecie widokami. Lofoty słyną z niezwykłych krajobrazów, górskich i zarazem morskich jednocześnie. Granitowe turnie wielosetmetrowej wysokości wyrastają pionowymi ścianami z poziomu Morza Norweskiego. Malownicze krajobrazy i zjawiska atmosferyczne – mgły i chmury, wiatr i deszcz, a także niezwykły, bo specyficznie prześwietlony błękit północnego nieba, góry odbijające się w morzu o różnych odcieniach, skalne urwiska i piaszczyste zatoczki pomiędzy nimi, oraz kolorowe wioski rybackie i intensywnie soczysta zieleń - wszystko to stanowi o niepowtarzalności archipelagu Lofotów. Do tego słońce, które nie zachodzi latem przez całą dobę!



Fot.52 Autor na wierzchołku bez nazwy

Lofoty są popularne wśród turystów podróżujących w różny sposób – kamperami, samochodami osobowymi, na motocyklach i rowerach, jachtami i kajakami. Urwiska skalne kuszą szorstkim granitem, są doskonałym celem dla wspinaczy. Do najbardziej popularnych należą ściany masywu

Vagakallen (942m) w okolicy malowniczej wioski rybackiej Henningsvær, a także urwiska na pionowych turniach ostatniej z większych wysp archipelagu – Moskenesøya. W pobliżu wiosek rybackich Hamnøya, Reine, Moskenes i Å, leżącej na samym krańcu wyspy, nawet najwybredniejsi wspinacze znajdą skalne drogi jak marzenie.



Fot.53 Bajkowa zatoka w Ramberg

Również turyści górscy odnajdą na Lofotach swoje miejsce, bo Lofoty to pasmo górskie wynurzające się z morza, ciągnące się na długości ponad 120km, z wyspy na wyspę.

Higravstinden (1161) na wyspie Austvågøya jest najwyższym szczytem archipelagu. Liczne ścieżki, także znakowane, prowadzą na smukłe szczyty na wyspie Moskenesøya, na dole wśród bujnej roślinności, wyżej we wspaniałej scenerii skalnej, pośród wysokogórskich jezior polodowcowych i wodospadów. Rzeźba terenu posiada bardzo wyraźne ślady intensywnej działalności lodowców, których obecnie już na Lofotach nie ma. To lodowcom te najstarsze na kuli ziemskiej góry zawdzięczają tak młody wygląd. Z wierzchołków i grani skalnych roztaczają się widoki na sąsiednie wyspy i góry oraz na bezkresny ocean, po którym suną promy i statki przybrzeżnej linii Hurtigruten.

Lofoty stanowią także europejskie centrum wędkarstwa, ze względu na obfitość i różnorodność ryb w przybrzeżnych wodach, fiordach, cieśninach i zatokach. Złowią tu można wielkie okazy halibutów, których ciężar dochodzi do 70kg! Takie są właśnie Lofoty – chmurne i słoneczne - prawdziwe wyzwanie północnej Europy, kraina inna niż wszystko, co dotąd dane wam było zobaczyć. Będziecie do niej tęsknić już w drodze powrotnej do domu.

Jacek Plonczyński

(artykuł, w zmienionej formie, ukazał się w „Dzienniku Polskim” – „Podróże” 8.01.2011 r.)

Nowa Zelandia



Fidżi

30 listopada o godz. 17.30 w ramach prelekcji Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział w Chrzanowie w Miejskim Domu Kultury w Chrzanowie odbył się mój pokaz multimedialny o wyprawie do Nowej Zelandii i na Fidżi.

Moja wyprawa miała miejsce w 2006 roku. Zwiedziłem wtedy obie nowozelandzkie wyspy, podziwiając piękne krajobrazy, cuda przyrody i parki narodowe, które zajmują trzecią powierzchnię tego kraju. Nową Zelandię warto zwiedzić



Fot.54 Działalność geotermalna w okolicach Rotorua



Fot.55 Park Narodowy Tongariro

między innymi po to, by zobaczyć Park Narodowy Tongariro, który obejmuje trzy wulkany oraz Szmaragdowe Jeziora, Park Narodowy Westland z lodowcem Foxa i okolice Rotorua znane z działalności geotermalnej. Warte zobaczenia jest również wybrzeże Kaikoura, gdzie podziwiać walenie i dzikie delfiny, Półwysep Otago niedaleko Dunedin z kolonią



Fot.56 Centrum Wellington

albatrosów i pingwinami niebieskokookimi oraz Park Narodowy Abła Tasmana z pięknymi piaszczystymi plażami w malowniczych zatokach. Nie można też pominąć Parku Narodowego Paparoa ze Skałami Naleśnikowymi czy Parku Narodowego Fiordland z fiordem Milford. Poza tym udały mi się jeszcze dwa trekkingi: jeden szlakiem Rothburn w Parku Narodowym Góry Aspiring, a drugi – w okolicach Kaikoura na górę Fyffe oraz lot paralotnią z góry Coronet w okolicach



Fot.57 Park Narodowy Abła Tasmana

Queenstown. Zwiedziłem także stolicę Wellington, Auckland, największe miasto Nowej Zelandii wraz z pobliską wyspą-wulkanem Rangitoto i Christchurch, największe miasto Wyspy Południowej, które na początku 2011 roku zostało zniszczone przez silne trzęsienie ziemi. Jeszcze jedną atrakcją była wycieczka szlakiem XIX-wiecznej gorączki złota do miasteczka z epoki Arrowtown oraz do nieistniejącego Macetawn, gdzie aby się dostać, trzeba było 26 razy przejechać samochodem terenowym wijącą się rzekę.

Nowa Zelandia jest także interesującym krajem do poznania z uwagi na udane wolnorynkowe reformy gospodarcze, które zostały wprowadzone, począwszy od roku 1984 i

przyniosły Nowozelandczykom wymierne korzyści. Mnie podczas pobytu w Nowej Zelandii udało się spotkać z kilkoma osobami, które te reformy w ówczesnym czasie wprowadzały: Richard Prebble, jako minister wielu resortów był



Fot.58 Lodowiec Foxa

ojcem nowozelandzkiej prywatyzacji, Roger Kerr, zmarły w 2011 roku doradca kilku reformatorskich rządów, później wieloletni dyrektor think tanku New Zealand Business Roundtable, Rodney Hide, ówczesny poseł libertariańskiej Partii Konsumentów i Podatników, Brent Layton, ówczesny prezes think tanku New Zealand Institute of Economic Research oraz Peter Neilson, prezes Rady Biznesu ds. Wspierania Rozwoju.



Fot.59 Kava kava na Fidżi

Będąc w Nowej Zelandii, postanowiłem polecieć na kilka dni na wyspy Pacyfiku. Zdecydowałem się na pobliskie Fidżi. Tam zwiedziłem miasto Nandi, byłem na malutkiej wysepce Malolo oraz we wsi Saunaku, gdzie miejscowy rolnik specjalnie dla mnie przygotował narkotyczny napój kava kava.

Zachęcam do odwiedzenia zarówno Nowej Zelandii, jak i Fidżi oraz zapraszam do Miejskiego Domu Kultury w Chrzanowie na kolejne moje pokazy z podróży do innych egzotycznych krajów.

Tomasz Cukiernik
www.tomaszcukiernik.pl



Wspomnienia włóczykija

Opowieść carskiego żołdata.

Miałem wtedy około 20 lat. W mojej rodzinnej okolicy pobrzmiwały jeszcze echa Insurekcji Kościuszkowskiej, dalekie echa jak to krakowscy chłopcy kosami zdobywali rosyjskie armaty, jak Bartosz Głowacki został uszlachcony i jak Naczelnik Kościuszek dla uhonorowania chłopskiego wojska przebrał się w krakowską sukmanę.

Nic więc dziwnego, że zapragnąłem zobaczyć Raławice słynne kościuszkowskim zwycięstwem¹⁾. Od Iwanowic – mojej rodzinnej wsi - Raławice są odległe o ponad 40 km. Wziąłem od ojca jeszcze przedwojenny stary rower i doliną Dłubni a potem przez Miechów dojechałem do Raławic.

Gdy wracałem, zepsuł mi się rower. Łańcuch stale spadał i musiałem co chwila nakładać go na tryby. Do domu miałem jeszcze około 15 km.

Akurat napatoczył się gospodarz, który furą odwoził krewnych do autobusu i z powrotem jechał próżno. Sam zaproponował, że mnie podwiezie, więc rower włożyłem na wóz, a sam usiadłem koło niego.

Jazda furką to nie to samo co samochodem. Koń jedzie powoli, wolniej pod górkę, szybciej z górki, a że droga była długa, więc zaczęliśmy rozmawiać. W latach 60 ubiegłego wieku, najważniejszym tematem była wojna i okupacja. Usłyszałem wtedy od gospodarza osobliwą historię, którą tu przytaczam.

W 45 roku, gdy przyszedli Rosjanie, zmuszony byłem przez nich jechać pod wolę z ładunkiem tam gdzie mi kazali. Sprzeciwu nie mogło być, bo mnie by rozstrzelali, a konie z wozem i tak zabrali. Może by mnie tak gnali z końmi aż do Berlina, a i nie wiadomo, czy wróciłbym cało do domu. Bo na wojnie, jak na wojnie – pociski nie wybierają.

Ale zdarzyło się inaczej. Za cara byłem rosyjskim żołdatem. Oficerowie carscy byli różni, ale mój bezpośredni przełożony był dobrym człowiekiem. Chronił swoich żołnierzy i dobrze się do nas odnosił.

I oto teraz, w 45 roku oko w oko spotkałem tego mojego przełożonego, znajomego mi z carskiego wojska oficera. Patrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem, o kilkadziesiąt lat starsi, całkowicie tym spotkaniem zaskoczeni.

Ale poznaliśmy się wzajemnie, serdecznie przywitaliśmy i opowiedzieliśmy swoje dzieje. Mój oficer służył teraz w Krasnej Armii. Udało mu się przejść cało przez rewolucyjną zawieruchę i stalinowskie represje. No i wszystkie ciężkie boje tej wojny.

I mój dawny przełożony, a teraz oficer Czerwonej Armii puścił mnie cichaczem razem z końmi i wozem do domu. Tak to dziwnie plotą się ludzkie losy. Mówi się, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem.

Gospodarz jechał do Wysocic. Podziękowałem za podwiezienie i trochę jadąc a trochę prowadząc rower dobrnąłem do domu. Moja wycieczka była więc podwójnie ciekawa. Zobaczyłem Raławice z dworkiem i kopcem Kościuszki oraz wysłuchałem nadzwyczaj ciekawej historii carskiego żołdata.

Nie byłbym turystą, gdybym w kilku słowach nie napisał o dolinie Dłubni. Tereny te obecnie tworzą Park Krajo-
brazowy Doliny Dłubni.

Jeżeli ktoś chciałby poznać na niewielkim obszarze całą historię architektury, to właśnie tu powinien przyjechać. Bo w Wysocicach jest piękny kościół romański. Kościoły gotyckie znajdują się z kolei w Raciborowicach i Sieciechowicach. Z kolei pięknym przykładem baroku jest klasztor norbertanek w Imbramowicach. Można znaleźć też coś z klasycyzmu w Iwanowicach - na stromym urwisku nad Dłubnią wznosi się kaplica św. Rocha zbudowana w tym właśnie stylu. I jeszcze drewniane kościoły w Iwanowicach, Mostku i Ulinie.

Tylko wspomnę o wspaniałych gotyckich rzeźbach z warsztatu Wita Stwosza (a może nawet jego dłuta) w kościele iwanowickim.

Przypisy:

1) O Insurekcji Kościuszkowskiej piękną powieść napisał Władysław Reymont pt. Rok 1794. warto ją przeczytać, bo także wiele wątków możemy odnieść do naszych czasów. Przecież „historia magistra vitae”.

Czy zmartwychwstanie Biały Słoń

W „Orle Skalnym” nr 59 (XV) ukazał się przedruk artykułu Tomasza Kowalika pt. „Śmiech ze szczytu Pop Iwana”, opublikowany w „Na szlaku” w 2004 roku jako odpowiedź na artykuł w tym samym piśmie Zbigniewa Kubienia. Ruiny Obserwatorium Astronomicznego na Pop Iwanie, otwartego rok przed II Wojną Światową budzą bowiem od lat wielkie zainteresowanie. Obserwatorium wznoszono w tym samym czasie co budowano kolejkę linową na Kasprowy Wierch, ale inwestycja ta nie wzbudzała wówczas takich kontrowersji. Była to ogromna, monumentalna inwestycja wznoszona przez państwo polskie, a bezpośrednio przez Uniwersytet Warszawski, której koszty sięgały ok. 1 miliona ówczesnych złotych, w bardzo trudnych warunkach i ogromną pracą. Jak pisano w sprawozdaniach „obserwatorium te poświęcone pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego i noszące jego imię będzie – po ukończeniu budowy, co nastąpi w lecie 1937 roku – podzielone na dwa wydziały: astronomiczny i meteorologiczny. Wydział meteorologiczny będzie należał do Państwowego Instytutu Meteorologicznego, wydział astronomiczny – do UW”. Prócz tego w Obserwatorium został zlokalizowany Korpus Ochrony Pogranicza i pomieszczenia dla oficerów wywiadu i kontrwywiadu. Zostało otwarte ostatecznie 29 lipca 1938 roku. Obserwatorium zwane popularnie „Białym słońcem” położone na wschodnim krańcu pasma Czarnohory, na wysokości 2026 m. było niewątpliwie ważnym punktem strategicznym na polskich rubieżach. Niestety w chwili wybuchu II wojny światowej nie spełniło spodziewanych celów, a jego załoga, w tym znany wszystkim Władysław Miodowicz, musiała uciec. Opuszczone i zniszczone stoi tak do dzisiaj, o czym wielu mogło się osobiście przekonać.

Po kilkudziesięciu latach, w zmienionych realiach politycznych zaczęto myśleć o odbudowie „Białego Słońca”. Pomysł wyłonił się w listopadzie 1995 roku, podczas ukraińsko-polskiego sympozjum ku czci prof. Kaspra Weigla, wybitnego polskiego matematyka, geodety i fotogrametry, rektora Politechniki Lwowskiej, rozstrzelanego przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich. Przez kolejne 15 lat sprawa nie wychodziła poza sferę zamiarów, planów i projektów. W roku 2011 wydaje się nabierać rumieńców. Obecnie obserwatorium zostało przekazane na własność Przykarpackiego Uniwersytetu Narodowego im. Wasyla Stefaniuka.

Odbudowa ma być prowadzona we współpracy Uniwersytetu Przykarpackiego w Iwano-Frankowsku (Stanisławowie) z Uniwersytetem Warszawskim. „Jest to największy projekt inwestycyjny, który wpisano do strategii współpracy ukraińsko-polskiej na 2011-2012 r.” – powiada prof. Bohdan Ostafijczuk, rektor Uniwersytetu Przykarpackiego. Finansowanie ma zapewnić spodziewany grant Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Najważniejsze są obecnie prace konserwacyjne aby uniknąć całkowitej ruiny obiektu. Prace

rozpoczną się na początku przyszłego roku, a Biały Słoń ma stać się centrum naukowo-badawczym dla studentów i naukowców ukraińskich i polskich. W przyszłości przewiduje się przystosowanie obserwatorium do potrzeb współczesnej turystyki



Fot.60 Obserwatorium „Biały Słoń”

Sam autor przedrukowanego artykułu, Tomasz Kowalik, ma duże wątpliwości co do sensu odbudowywania „Białego Słońca”. Czy da się cofnąć czas??? Koszty będą ogromne; może nadciągający ogólny kryzys znowu sprawę spowolni. Obawia się tego zamierzenia także ze względu na ochronę przyrody i tamtejszego krajobrazu. W dobie dzisiejszej wymagać by to musiało użycia ciężkiego sprzętu, a może nawet budowy kolei linowej. Przyciągnęłoby to rzesze turystów i narciarzy, ale tzw. zagospodarowanie turystyczne odebrałoby ten niepowtarzalny urok swobody – dzikiego jeszcze obszaru dla uprawiania turystyki i narciarstwa w dawnym stylu. Sama odczułam ten klimat będąc kilkakrotnie w Czarnohorze, jakkolwiek do Białego Słońca nie dotarłam. Dlatego osobiście skłonna jestem podzielić obawy Tomasza Kowalika. Tymczasem sądzę, że wszystkie te artykuły zachęcą czytelników „Orla Skalnego” do wyprawy na Popa Iwana i osobistego odbioru wrażeń i przeżyć z wyjazdu w Czarnohorę.

Barbara Morawska-Nowak

Piśmiennictwo:

1. Robert Gawkowski: *Uniwersytecka Pamiątka na Pop Iwanie. Papiery na Słońcu. Uniwersytet Warszawski. Pismo Uczelni. nr 4 (54), październik 2011, 42-44*
2. Sabina Różycka: *Ukraina: Obserwatorium Biały Słoń wraca do życia. Kurier Galicyjski nr 18 (142) z 30 września – 13 października 2011 r.*

Zjazd Górski w Sanoku (14-17 sierpnia 1936 roku)

Przed ponad 75 laty temu (14-17 sierpnia 1936 roku) miejscem Zjazdu Górskiego stał się Sanok, wybrany spośród wielu karpackich miast. I słusznie, bowiem leżąc na pograniczu Karpat Wschodnich i Zachodnich, stanowił naturalne centrum dla wszystkich polskich ziem górskich okresu międzywojennego. Poza tym sam był tak piękny i tak pięknie położony z Górą Parkową pośrodku, że śmiało mógł rywalizować z „cudami” krajowymi i zagranicznymi. Toteż po Zakopanem, gdzie w 1935 roku zorganizowano „Święto Gór”, los padł na Sanok. Poniżej artykuł poświęcony temu doniosłemu ówczesnie wydarzeniu autorstwa Wojciecha Wesółkina i Edwarda Zająca, zamieszczony w 33 numerze Tygodnika Sanockiego z dnia 19 sierpnia 2011 roku. Warto wiedzieć i pamiętać o tym wydarzeniu gdyż Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zgodnie ze swoim statutowym obowiązkiem było nie tylko inspiratorem takich i podobnych działań, ale także aktywnym ich uczestnikiem.

Józef Haduch

Ziemia Sanocka, mimo swej urody, w międzywojniu była niedoceniana i stale pomijana w planach rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Zjazd Górski w 1936 r. miał zwrócić na nią oczy ogółu. Myślą przewodnią tego „Święta Gór” była aktywizacja biednych i zapomnianych terenów górskich, przy wsparciu mającego powstać Związku Ziemi Górskich. Jego działalność miała ułatwić rozwój gospodarki rolno-hodowlanej, turystyki, ośrodków klimatyczno-uzdrowiskowych, ochronę przyrody, rozwój kultury i rzemiosła ludowego oraz służyć ogólnemu podniesieniu dobrobytu mieszkańców gór.

Kraina Łemków i Bojków

Ludność dawnej Ziemi Sanockiej liczyła ok. pół miliona i była wielce niejednolita pod względem narodowościowym. Mieszkali tu Polacy, Ukraińcy, Cyganie, a w miasteczkach pokaźny odsetek Żydów. Zaludnienie miast i miasteczek ludnością żydowską sięgało 50 i więcej procent. Wśród ludności na szczególną uwagę zasługiwali górale ruscy: Łemkowie i Bojkowie, mieszkańcy tutejszych gór, a to ze względu na swoje odrębności językowe i kulturowe, ze względu na swój egzotyzm. Poziom ich bytowania był bardzo prymitywny. Dopiero w okresie odrodzonej Polski, w dobie rozbudzonego regionalizmu odkryto także i te zapomniane grupy góralskie i wciągnięto je w krąg zainteresowań naukowych i państwowych. Przede wszystkim zaczęto rozbudowywać sieć szkolną by wprowadzić oświatę, której dotychczas nie miały. Dano im podręczniki szkolne w łemkowskim języku, tzw. „Bukwar”, co wywołało ogromny sprzeciw Ukraińców, którzy Łemków i Bojków chcieli mieć po swojej stronie. Aby zaś uchronić wiarę Łemków przed wpływem polityki obcej, w porozumieniu ze Stolicą Apostolską w 1934 roku utworzono osobne biskupstwo greckokatolickie dla Łemkowszczyzny z tymczasową siedzibą w Rymanowie-Zdroju, później w Sanoku. Obejmowało swym zasięgiem 118 parafii, liczyło 140 tysięcy wyznawców i nosiło nazwę: Administracja Apostolska dla Łemkowszczyzny.

Łemkowie zasiedlili góry Beskidu Niskiego i Sądeckiego, docierając pod Szczawnicę. Od wschodu sąsiadowali z Bojkami, których siedziby sięgały aż po rzekę Łomnicę i obejmowały Bieszczady Zachodnie i Wschodnie. Górale ci byli zasklepieni sami w sobie, przepojeni duchem konserwatyzmu, wiarą w duchy, czarownice i upiory.



Fot.61 Budynek dawnej Rady Powiatowej

Zorganizujmy wielkie święto, ożywm góry

Mijały wieki, a niewiele się zmieniło: bo i czas do nich nie dochodził, gdy dróg wciąż jeszcze nie ma. Wyrąbać drogi i ubić gościńce szerokie takie, żeby życie wartkie mogło się na nich pomieścić i tam w góry wkroczyć i ponieść w ten zacofany kraj zdobycze cywilizacyjne. Święto Gór w Zakopanem, Święto Huculsczyny i Zjazd Górski w Sanoku były przedsięwzięciami o takich właśnie celach, by regiony górskie ożywić, rozbudzić w nich świadomość oryginalności i odrębności kulturowej i wpoić przekonanie, że warto to wykorzystać dla poprawy bytu górali.

Piękna ta idea znalazła gorących wyznawców i wykonawców. Sanocki komitet Zjazdu Górskiego stanowili: przewodniczący Wojciech Bucior - starosta sanocki, zastępca przewodniczącego: Józef Trznadel - wicestarosta, członkowie: Bartkowski - inspektor szkolny, Dobrowolski - powiatowy komendant Policji Państwowej, dr Dorosz - lekarz powiatowy, Jan Gołębiewski - podinspektor szkolny, mgr Jan Hraba-aptekarz, **Ludwik Jasiński - prezes sanockiego oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego**, mjr Jan Matuszka - 2 psp w Sanoku, prof. Franciszek Moszoro, dr Perelom - adwokat, dr Jan Rajchel - burmistrz miasta Sanoka, Marian Robel - kupiec, Maksymilian Słuszkiewicz - wiceburmistrz Sanoka, dr Edmund Słuszkiewicz - literat, dr Bolesław Skwarczyński - dyrektor Muzeum Ziemi Sanockiej, inż. Roman Wajda, prof. Wolnarowicz.

Komitet główny Zjazdu Górskiego stanowili: przewodniczący gen. Tadeusz Kasprzycki - Minister Spraw Wojskowych, zastępca przewodniczącego - inż. Aleksander Bobkowski - podsekretarz stanu w Ministerstwie Komunikacji oraz 40 członków w tym Władysław Belina-Prażmoski -

województwa lwowski. Działał także Wydział Wykonawczy Komitetu składający się z 18 osób. W 15 górskich powiatach powstały lokalne komitety Zjazdu. **Swe działania wzmógł też sanocki oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, zawiązany w 1929 roku.**

Ognie na wzgórzach, niczym olimpijski znicz

14 sierpnia 1936 r. wielkie ognie-wici, rozpalone wieczorem na wszystkich wzgórzach otaczających Sanok, dały znak do rozpoczęcia uroczystości. Od tej chwili przez trzy dni i trzy noce trwało w mieście wielkie świętowanie.



Fot.62 Osiemnastowieczny ratusz miejski

Pierwszego dnia rano uroczysta msza św. Na Błoniach zgromadziła tysiące ludzi. Następnie goście powitani serdecznymi słowami, przedstawili się zebranym w okazałej defiladzie. W takt orkiestrowego marsza przed oczyma zgromadzonych przesuwał się barwny i różnorodny korowód – szli górale ze Śląska od Wisły i Istebnej od Żywca i od Cieszyńska, ci z Wysokich Tatr i ci ze Spisza i Orawy, szły podhalańskie grupy od Limanowej i Sącza, Łemkowie z Jasielskiego, Krośnieńskiego i Leskiego oraz Bojkowie od Stryja i spod Turki, była też grupa Samborska w czerwonych krakusach i Huculi od Kołomyi, Kosmacza i znad Czeremoszu. A pośród nich wmieszani a od nich odmienni mieszczenie żywieccy w czarnych dostojnych i szlachta Turczyńska w szlacheckich żupanach. Szli strojni i odświętni, nagradzani oklaskami przyjaznymi okrzykami. Później każda z przybyłych grup prezentowała to, co ze sobą na to święto przyniosła. Ci co z pieśnią przybyli, pieśń złożyli w darze, inni w melodii dźwięków i tanecznym rytmie duszę swą ujawniali, a jeszcze inni przedwieczny pradziadów obrzęd z sobą tu przynieśli i ten tu przed wszystkimi godnie przedstawili.

Główny jarmark, kiermasze festyny i zabawy ludowe odbywały się w Parku Miejskim i na boisku „Sokoła”. W ramach konkursu przygrywały orkiestry pułków podhalańskich. Żydówka Lejbowa z Jaćmierza, która przyjechała ze swoim kramikiem, aby coś zarobić, tak później opowiadała swoim sąsiadkom, jak to pięknie grały te orkiestry: raz cienko, raz grubo.... Konkurs sześciu orkiestr dętych pułków podhalańskich miał być rzeczywiście imponujący. Oprócz występów i konkursów, prezentowane były wytwory rękodzieła artystycznego użytkowego. Urządzono wystawy rzeźby ludowej, pokazano drobne sprzęty, kasety, talerze na pieczywo, solniczki i inne drobiazgi, zwłaszcza z okolic Rymanowa. Wielkim zainteresowaniem cieszyły się pokazy kilimów o oryginalnych wzorach, chodników, ręczników,

haftów i wyszywanek ludowych. Z okazji Zjazdu na zamku królewskim przygotowana została przez Muzeum Ziemi Sanockiej pierwsza stała ekspozycja, gdzie pokazano dorobek świadczący o historii i kulturze Ziemi Sanockiej. Zwiedziło kilka tysięcy turystów i zaproszonych gości z różnych stron Polski.

Święto folkloru

W dniach 15 i 16 sierpnia odbył się przegląd zespołów folklorystycznych. Region łemkowski zaprezentował: fragment wesela łemkowskiego (okolice Sanoka), tańce i pieśni (okolice Leska), pieśni i taniec „Krzyżak” (okolice Jasła), „Pieśni Kupały” (okolice Krosna) oraz tańce, pieśni i inscenizację wesela łemkowskiego z okolic Gorlic. Region Orawski pokazał urywek z wesela z Lipnicy Wielkiej. Na prezentację regionu bojkowskiego złożyły się: taniec „Szewczyk” z muzyką skrzypków z Sambora, „Dożynki Bojkowskie”, tańce, śpiewy i muzykę ze Stryja oraz tańce charakterystyczne w wykonaniu zespołów z Turki Doliny. Region limanowsko - sądecki przedstawił pieśni ludowe, taniec zbójnicki, grę na kobzie, gadkę Władysława Orkana oraz inscenizację „Pastuszek”. Region żywiecko-śląski reprezentowały zespoły z Żywca, Cieszyńska i Wilanowa. „Zrękowiny” - urywek wesela oraz tańce, pieśni i muzykę zaprezentowały zespoły z Łapsz Wyżnych i Szczawnicy Wyżnej - przedstawiciele regionu spiskiego. Region huculski reprezentował zespół z Nadwórnej, który wykonał tańce „Huculka”, „Kołomyjka”, „Hopak”, „Hołubka” oraz zespół z Kosowa, który pokazał wesele huculskie. Tatry reprezentował zespół z Poronina z przedstawieniem „Ocepin”.

Na zakończenie odbyło się przedstawienie w Domu Żołnierza Polskiego, na które złożyły się występy regionów: sądeckiego, cieszyńskiego, bojkowskiego, i łemkowskiego. Prezentowały tańce, pieśni oraz obrazy sceniczne oparte na zwyczajach ludowych. Region tatrzański pokazał widowisko regionalne „Wesele góralskie”, zaś tańce charakterystyczne oraz pieśni wykonały zespoły huculskie.

Przez trzy dni popisywały się grupy folklorystyczne, walcząc o palmę pierwszeństwa. Wydarzeniem był pokaz lotów balonów: „Sanok” i „Mościce”, który odbył się na Błoniach. Były one wykonane z tkaniny wyprodukowanej w Polskiej Spółce dla Przemysłu Gumowego „S.A.” w Sanoku. Odbył się też gwiazdowy zjazd samochodowy. Uczestnicy zjazdu zwiedzili miasto i różne osobliwości Ziemi Sanockiej, a na zakończenie wzięli udział w pochodzie nad rzekę San, by obejrzeć kolorowe łodzie i puszczanie wianków.

Święto pracy

W trzecim dniu Zjazdu wszyscy zjazdowi goście zostali zaproszeni na „święto pracy”, później zwane czynem społecznym. Wysiłkiem gromad wiejskich budowano drogę na odcinku Załuż-Monasterzec. Wcześniej w darze przekazano sprzęt drogowy dla realizacji tego typu inwestycji. Przy tej okazji została oddana do użytku ludności Łemkowszczyzny droga górską o długości 24 km, łącząca z sobą dwie gminy zbiorowe: Jaśliska i Komańczę.

Budowę dróg wysiłkiem społecznym w powiecie sanockim propagował w latach 30. XX wieku Jan hr. Potocki. Nowe drogi pozwalały na eksploatację lasów. Część pozyskanego budulca hr. Potocki przeznaczył bezpłatnie na budowę szkół wiejskich, remiz strażackich i mostów, które prawie każdego roku były zmywane przez wiosenne powodzie, ponieważ zapór wodnych na Sanie jeszcze wtedy nie

było. W Bażanówce oddano do użytku remizę strażacką zbudowaną z klocków ofiarowanych przez pana hrabiego. Po poświęceniu remizy, chłopci wzięli darczyńcę na ramiona, obchodząc budowlę i wznosząc okrzyki Jan hr. Potocki niech żyje nam!



Fot.63 Ławeczka ze Szwejkem na ulicy 3 Maja

Zadbano też o promocję

Trwałym dorobkiem Zjazdu Górskiego było wydanie pierwszego w dziejach miasta „Przewodnika po Sanoku i Ziemi Sanockiej” autorstwa Edmunda Śluszkiewicza. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Sanockiej zadbało również o

popularyzację wiedzy o swoim regionie. W tym celu zamówiło cykl odczytów o tematyce popularno-naukowej, które wygłosił m.in.: prof. Szymon Wierdak z Politechniki Lwowskiej, nt.: „Zabytki przyrody w Ziemi Sanockiej” i prof. Tadeusz Sulimirski: „Ziemia Sanocka w czasach przedhistorycznych”.

Na zakończenie, tak jak na początku Zjazdu, znów zapłonęły na otaczających Sanok wzgórzach olbrzymie ogniska, które miały rozświetlić mroki przeszłości dla przyszłości. Wszystkie grupy regionalne dostały darmowe bilety na pociąg i wyjechały ze swymi przedstawieniami do Lwowa, Krakowa i Warszawy, by tam również zaprezentować swój folklor.

Jak widać, chociażby z pobieżnego zestawienia prac i działań, Sanok solidnie przygotował się do wypełnienia obowiązków gospodarza „Święta Gór”.

Zjazd Górski w Sanoku był pierwszym krokiem na drodze wcielenia zapomnianego ludu góralskiego Ziemi Sanockiej w orbitę życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego Polski. Jednak był on przede wszystkim wielkim przeglądem folkloru ludności polskich Karpat i największą imprezą folklorystyczną w historii miasta.

Na przeszkodzie w kontynuacji tego dzieła stanął brutalnie wybuch drugiej wojny światowej. Może jednak warto wrócić do tej idei.

*Wojciech Wesolkin
Edward Zajac*

Wykorzystano publikacje:

E. Śluszkiewicz, Przewodnik po Sanoku i Ziemi Sanockiej, Sanok 1938

Program Zjazdu Górskiego w Sanoku 1936 r.

RENESANSOWY KASZTEL W SZYMBARKU

Po siedemdziesięciu trzech latach od czasu rozpoczęcia pierwszych prac zabezpieczających i remontowych, pod koniec 2010 roku oddano do użytku wyremontowany renesansowy kasztel w Szymbarku – perłę polskiej architektury obronnej w Karpatach. Inwestycja pn. Rewaloryzacja i remont Renesansowego Dworu Obronnego w Szymbarku zrealizowana w latach 2007-2010, kosztowała niespełna 4,4 mln zł. Z budżetu Województwa Małopolskiego sfinansowano to zadanie inwestycyjne w kwocie 1.73 mln zł, ze środków MRPO 2.58 mln zł. Wsparcia udzielił również Powiat Gorlicki. Ponadto Muzeum „Dwory Karwacjanów i Gładyszów” oprócz kosztów związanych z bezpośrednim prowadzeniem remontu przekazało na ten cel część dochodów własnych.

Budowę kasztelu rozpoczęto w pierwszej połowie XVI wieku, a zakończono w latach 1585-1590. Nieznane jest nazwisko architekta, ani budowniczych. Przypuszcza się, że autorem planów szymbarskiego kasztelu mógł być jeden z włoskich architektów, zatrudniony na królewskim dworze Jagiellonów.

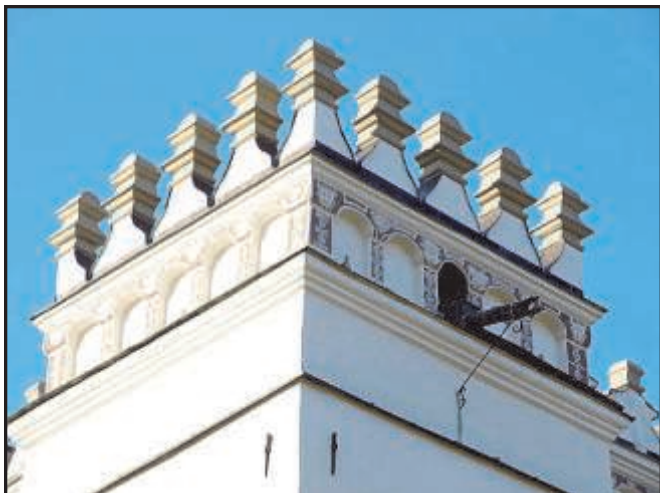
Kasztel zbudowany jest z miejscowego kamienia łamanego z dodatkiem cegły. W drugiej fazie budowy bryłę dworu zwieńczono attyką arkadową, na elementach której umieszczono sgrafitto z motywami geometrycznymi, przeplatany fantastycznymi maska-



Fot.64 Kasztel w Szymbarku

mi. Okna obiektu posiadają bogatą profilowaną renesansową kamieniarkę. Kasztel zbudowany jest na planie prostokąta o wymiarach 20 x 13 m. Posiada cztery narożne baszty alkierzowe, na

wysokości piętra wystające poza lico murów, wsparte na kamiennych kroksztynach. W budynku są trzy kondygnacje – piwnice, parter i piętro.



Fot.65 Renesansowa attyka

Do końca XVII wieku kasztel pełnił funkcję reprezentacyjną i mieszkalną. Wewnątrz znajduje się niewiele pomieszczeń: dwie piwnice o kolebkowym sklepieniu, na parterze sieni i dwie izby, na piętrze wielka sala reprezentacyjna i obok niej mniejsza oraz cztery narożne alkierze. Do dziś właśnie w alkierzach przetrwały oryginal-

ne elementy wystroju wnętrz, kamieniarka portali, fragmenty kominów i część ściennej polichromii w dwóch pomieszczeniach.

Dwór usytuowano na skarpie rzeki Ropy i wyposażono w system strzelnic umieszczonych na wysokości strychu, co świadczyło o ostrożności na wypadek jakiegś lokalnej awantury. Nie wydaje się jednak, aby rezydencja Gładyszów pełnić miała jakąś istotną rolę w systemie obronnym zamków na południowych kresach Rzeczypospolitej. W XVII wieku ściany dworu wzmocniono przyporami z kamienia i cegły dodając wewnętrzne ściany działowe. W latach 50tych XX wieku podczas pierwszego etapu remontu usunięto te wtórne elementy i przywrócono renesansowy charakter dworu.

Kasztel zamieszkiwany był do końca XVIII wieku. Po Gładyszach przechodził kolejno we władanie Strońskich, Siedleckich, Bronikowskich. W XIX wieku mieściła się w nim gorzelnia i magazyn zbożowy. Pod koniec XIX stulecia jeszcze w okresie międzywojennym na parterze funkcjonowała kuchnia dla czeladzi dworskiej oraz kurnik. Dwór pełnił też funkcję lamusa, w którym przechowywano niepotrzebne sprzęty.

Obecnie dwór Gładyszów stanowi oddział Muzeum „Dwory Karwacjanów i Gładyszów” pn. Ośrodek Konferencyjno-Wystawienniczy „Kasztel w Szymbarku”.

Józef Haduch - wg wydawnictwa Muzeum Dwory Karwacjanów i Gładyszów – Fundusze Europejskie dla Małopolski

KARPATY RUMUŃSKIE W WEEKEND w Chatce AKT „WATRA” na Pietraszonce

W dniach od 02 do 04 grudnia 2011 r. w Chatce AKT „WATRA” na Pietraszonce odbyło się VII Slajdowisko zorganizowane przez Akademicki Klub Turystyczny „Watra” i Towarzystwo Karpackie poświęcone prezentacji Karpat Rumuńskich.



Celem imprezy jest popularyzacja jednego z najsilniej atrakcyjniejszych obszarów górskich Europy oraz wymiana doświadczeń pomiędzy środowiskami turystycznymi przejawiającymi aktywność poznawczą na tym terenie. W trakcie slajdowiska prezentowano prze-

żroczka, zdjęcia cyfrowe oraz filmy z wyjazdów turystycznych krajoznawczych odbytych na terenie Karpat rumuńskich. Przedstawiono 30 prezentacji przygotowanych przez 20 prelegentów w łącznym czasie 25 godzin.



W sobotnie przedpołudnie na polanie pod Gańczorką rozpalono watrę a uczestnicy spotkania w miłej i górskiej atmosferze smakowali samodzielnie ugotowaną pulę.

O swoich wyjazdach opowiadali znani już rumuńscy eksperci, w tym: Jurek Montusiewicz z Lublina,



Fot.66 Organizator spotkania „Dzida” Dariusz Czerniak

Tomasz Smoliński z Warszawy, Aleksander Dymek z Krakowa, Piotr Miśkiewicz z Rybnika, Darek Kandzia z Gliwic oraz organizator spotkania - Dariusz „Dzida” Czerniak z Gliwic. W spotkaniu

uczestniczył turysta ekstremalny Bolesław „Bolec” Hyla z Krakowa - Kamaz Team Poland, który zaprezentował motocyklowe górskie Off Road.



Niezwykle dynamicznie ze swadą i humorem opowiedział o 150 dniowym czwartym przejściu Łuku Karpat Bartosz Malinowski, którego dokonał w 2007 roku wraz z pierwszą kobietą Joanną Mikołajczak. A Jurek Montusiewicz poprowadził konkurs z nagrodami, w którym miałem okazję wykazać się znajomością Rumunii uzyskując drugą zaszczytną lokatę.

Podsumowując należy stwierdzić, że w trakcie udanej imprezy przez pełne dwa dni i dwie noce przemierzono górskie szlaki Karpat rumuńskich ze wschodu na zachód oraz z północy na południe.

Józef Haduch

ROSYJSKI KONIEC EUROPY

Gdyby ktoś rok temu powiedział mi, że pojedę na Ural Subpolarny, że zdobędę Narodną - najwyższy szczyt Rosji w części europejskiej, to zaśmiałabym mu się w twarz. Że niby ja miałabym jechać 3 dni pociągiem żeby położyć po jakimś odludziu? Nigdy w życiu! Oczywiście osąd o takiej wyprawie wyrobiłam sobie bez jakiegokolwiek wiedzy na temat Uralu, po prostu wydawało mi się to całkiem bez sensu. Ale moi dwaj koledzy twardo planowali wyjazd i szukali współtowarzyszy przygody. Nie wiem ile razy powiedziałam nie... Aż mniej więcej 6 tygodni przed wyjazdem trafiłam na artykuł o Uralu. Przeczytałam, obejrzałam zdjęcia. Poszukałam informacji w internecie. Trafiłam na następne zdjęcia przepięknych, dzikich gór. I zdecydowałam, że muszę je zobaczyć na żywo.

Na szczęście był jeszcze czas na załatwienie wizy. Niestety „nasi bracia” Rosjanie nie wpuszczają Polaków na ładne oczy w paszporcie, trzeba mieć wizę. Załatwienie jej jest trochę kłopotliwe, ale udało się. Możemy kupić bilety na pociąg. To kolejne wyzwanie – chcemy je kupić przez Internet. Niby nic takiego, tyle że strona jest po rosyjsku, a ja nigdy nie uczyłam się



Fot.67 Uralski krajobraz

tęgo pięknego języka. Dobrze, że koledzy jako trochę starsi załapali się w szkole na lekcje rosyjskiego. I tak wspólnymi siłami, po 5 godzinach studiowania strony udaje nam się kupić bilety. Nasza trasa to Lwów – Ki-

jów – Moskwa – Inta, w sumie 4 i pół tysiąca kilometrów. Dzięki odpowiedniemu zaplanowaniu podróżyjemy głównie w nocy – droga do Inty zajęła nam 4 noce i 1,5 dnia. Po drodze zwiedziliśmy Kijów i Moskwę.

Podróż rosyjską koleją to przygoda sama w sobie. Pociągi na tak długich trasach mają tylko miejsca leżące, dlatego podróż, zwłaszcza nocą, mija szybko i przyjemnie. Inta leży na trasie z Moskwy do Workuty, czyli miejsca gdzie w czasach stalinowskich zsyłano ludzi do łagru. W samej Incie też można znaleźć budynki zbudowane przez łagrowników.



Fot.68 Widok z Narodnej

Naszym celem w Uralu jest przede wszystkim Narodnaja (1894 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Uralu, a zarazem Rosji w części europejskiej. Narodnaja znajduje się na terenie parku narodowego Yugud Va. Jest to największy park narodowy w Europie – ma blisko 19 tysięcy kilometrów kwadratowych. Park został ustanowiony w 1994 roku na zachodnich stokach Północnego i Subpolarnego Uralu, by chronić unikalne naturalne kompleksy mające ogromną wartość ekologiczną, historyczną i rekreacyjną.

Żeby móc wędrować po terenie parku należy uzyskać stosowne pozwolenie od jego dyrekcji. W tym celu udajemy się siedziby parku. Wykupujemy pozwolenie na określoną liczbę dni i dostajemy glej, który będziemy musieli okazać przy wjeździe do parku. W siedzibie parku można też zorganizować transport do bazy Żielannaja, gdzie zaczyna się trekking. Jest to bardzo ważny element wyprawy, ponieważ Narodnaja jest oddalona 120 km od Inty. Można tę odległość pokonać pieszo, o ile oczywiście ma się na to czas. Jest tylko jedno ale – po drodze należy pokonać bród na rzece Kożym. Ten bród ma około 1,2 m głębokości i szerokość Zakola Wisły w Krakowie, a woda jest lodowata zimna. Te wszystkie powody skłaniają nas wybrania opcji transportu samochodowego. Tutaj też są 2 możliwości. Można stanąć na drodze i liczyć na złapanie autostopu, gdyż jeżdżą tędy samochody dowożące pracowników do kopalni Żielannaja. Tylko jak to z autostopem na rzadko uczęszczanej drodze, nie wiadomo czy przyjdzie nam czekać 1 godzinę czy 12. Dlatego decydujemy się na skorzystanie transportu organizowanego przez park narodowy. Jest to najdroższa opcja, ale najszybsza i najpewniejsza. Mamy szczęście, że razem z nami w biurze jest też trójka Rosjan,

k którzy wybierają się w tym samym kierunku i możemy się z nimi podzielić kosztami. Wychodzi po 300zł na osobę. Trochę dużo jak za przejechanie 120 km, ale po wyjściu z ciężarówki po 6 godzinach jazdy, po przejechaniu Kożymu, wiemy, że słusznie wydaliśmy te pieniądze.



Fot.69 Nasza taksówka

Z ciężarówki wysiadamy około północy. Mimo późnej pory na wschodzie zaczyna się przejaśniać – uroki przebywania na północy, gdzie słońce wschodzi i zachodzi o zupełnie innych porach, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni w Polsce. Szybko rozbijamy namiot i idziemy spać. To nasza pierwsza noc „w spoczynku”, po 4 nocach spędzonych w pociągu. Rano możemy się przyjrzeć okolicy, po której przyjdzie nam wędrować najbliższe 8 dni. Na zboczu znajduje się kopalnia kwarcu, z wijącą się drogą dla ciężarówek. Obok zbudowano parę domów dla pracowników kopalni. Krajobrazu dopełnia jezioro Bałbanty. Plan na ten dzień to obejść jezioro i dojść doliną pod Narodnają.



Fot.70 Przeprowa przez mokradła

Zasugerowani tym, że ciężarówka przyjechała z prawej strony jeziora, postanawiamy iść tą samą stroną. Wiąże się to z pierwszą przeprową przez rzekę. Silny prąd, lodowata woda po kolana, ostre kamyczki wbijające się w stopy. Przez najbliższe dni takie przeprowy będą naszym chlebem powszednim. Tymczasem ruszamy wzdłuż jeziora. Przez parę godzin idzie-

my drogą, która później zamienia się w ścieżkę. Jeżeli dodamy do tego błoto, mokradła, strumienie, siąpiący deszcz, to może to wyglądać na kiepsko zapowiadającą się przygodę. Ale dzikość krajobrazu i wspaniałe widoki sprawiają, że humory nam dopisują i każde nowe wyzwanie przyjmujemy z uśmiechem.



Fot.71 Droga na szczyt Maranagi

Okolica nie wydaje się z resztą tak odludna jak można było się spodziewać po przeczytaniu opisów w Internecie. Spotykamy grupę młodzieży oraz kilku turystów. Pod koniec dnia spotykamy nawet pięcioro Polaków, którzy wracają z Narodnej. Po krótkiej rozmowie



Fot.72 Autorka na Maranadze

żegnamy się. Czas najwyższy znaleźć miejsce na nocleg, bo nie mamy już siły iść dalej. Nie jest to łatwe na podmokłym terenie, ale w końcu udaje się. Szybka kolacja i idziemy spać, wykończeni całonocnym chodzeniem.

Następnego dnia podchodzimy pod kolejne jezioro, zostawiamy plecaki i na lekkiego uderzamy na Narodną. Nie ma wytyczonej ścieżki, trzeba po prostu obrać azymut na szczyt i do góry. Większość trasy to

wspinanie się po kamieniach. Na szczycie pogoda troszkę się psuje – zaczyna padać mżawka, przez co kamienie robią jeszcze bardziej uciążliwe, bo śliskie. Ale widoki wynagradzają trudy. Muszę przyznać, że tak pięknej panoramy jeszcze nie widziałam – niezliczone wierzchołki po sam horyzont. Ten widok na zawsze pozostanie w mej pamięci.

Wracamy nad jezioro i rozbijamy namiot. Po ciężkiej nocy, z walką z wiatrem, który chciał nam złamać



Fot.73 Maranaga

namiot, ruszamy na przełęcz. Po zdobyciu Narodnej naszym celem jest Manaraga, dlatego musimy zmienić dolinę. Po zejściu z przełęczy trafiamy na ścieżkę i wędrujemy nią wzdłuż potoku Manaraga. Przed nami długi dzień, znowu ze strumieniami do przechodzenia, z mokradłami, których obejść się nie da. Pod wieczór docieramy do obozowiska dużej grupy Rosjan. Jest ich chyba 40, mają 15 namiotów i do tego jeszcze ogromny namiot, pod którym gotują i jedzą. Są bardzo przyjaźni, od razu częstują nas zupą gotowaną w kotle nad ogniskiem. Miła odmiana po 3 dniach jedzenia chińskich zupek...

Kolejnego dnia – przy przepięknej pogodzie, zdobywamy Manaragę. Manaraga nazywana jest królową Uralu. Samotna, z 6 wierzchołkami przypominającymi koronę, niepodzielnie króluje nad okolicą, więc można stwierdzić że ten przydomek jest jak najbardziej słuszny. Mimo niezbyt wybitnej wysokości (1662 m n.p.m.) Manaraga nie jest łatwą górą. Trudności piętrzą się zwłaszcza przed samym szczytem, gdzie uprawiamy czystą wspinaczkę. Teren przypomina nieco Rohacze w Tatrach, tyle że nie ma żadnych ubezpieczeń. Na szczycie wita nas Lenin, a dokładnie jego portret. Nie bardzo rozumiemy te zwyczaje pozostawiania pamiątek na szczytach – tutaj portret Lenina, na Narodnej znaleźliśmy tarczę i miecz...

Powrót do miejsca, gdzie dowiozła nas ciężarówka zajmuje nam 3 dni. Niestety pogoda popsuta się, toną w chmurach, więc rezygnujemy z wyjścia na górę Karpinskowo. Rano łapiemy stopa do Inty. Tym razem jazda kosztuje nas tylko 150zł od osoby. Po 6 godzinach jazdy wracamy do cywilizacji i kończymy naszą uralską przygodę. Przygodę z dzikim, nieodkrytym terenem, z bezkresem szerokich dolin, z morzem gór. Przygodę, której nigdy nie zapomnę.



BĄDŹ POZDROWIONY –

Stole rodzinny
z wiązką sianka pośrodku
na którym gwiazda
pokonuje czas
i przestrzeń

nadzieją Dobrej Nowiny

stole z chlebem okrągłym
jak syty uśmiech dziecka

stole z żurem na grzybku
z lasów świętokrzyskich – które po dziś dzień
każą święcić puste krzesła

jak na głębinię gdy pękają oczy
od wypatrywania białych rąk żagli

jawisz się stole łaską wspomnień
w przymierzu opłatkowych
życzeń

bądź pozdrowiony
szepem wiersza – stole wigilijny
z krainy dzieciństwa

i ty zielona madonno – Jodło
w blasku świec i matczynych oczu

Wiersze autorstwa pani Lucyny Szubel

FRANCISZKAŃSKA WIGILIA

pod
gwiazdą
co rozsypała
nad lasem
światło
i ciszę

przy dębie
w brązowym habicie – wilk
nie patrzy wilkiem na lisa

lis
zającowi
podaje łapę

kocię rysia
w miocie żbika
ssie mleko matki

bażant tuli się do kuny a kuna do kuropatwy

przez śnieg
sypiący jak pokruszone opłatki
na białej dłoni Świętego Franciszka
dzieje się cudu chwila –

franciszkańska wigilia



Fot.74 Goryczka trojęściowa (fot. Zygmunt Jeleń)

**ORZEŁ
SKALNY**

KWARTALNIK POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W CHRZANOWIE
WYDAWANY JEST WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO PTT
przez ZARZĄD ODDZIAŁU PTT w Chrzanowie, ul. Sokoła 24 / 108
Lokal Oddziału czynny jest w każdy wtorek i czwartek w godz. 17 –18
Tel. 886 059 850, nr konta PKO BP S.A.: 81 1020 2384 0000 9202 0050 1601
www.chrzanow.ptt.org.pl, e-mail: chrzanow@ptt.org.pl

NATURA i KULTURA

Fot.75 Sosna relikтовая „Kinga Pienińska” na Sokolicy
(fot. Remigiusz Lichota)

>>>

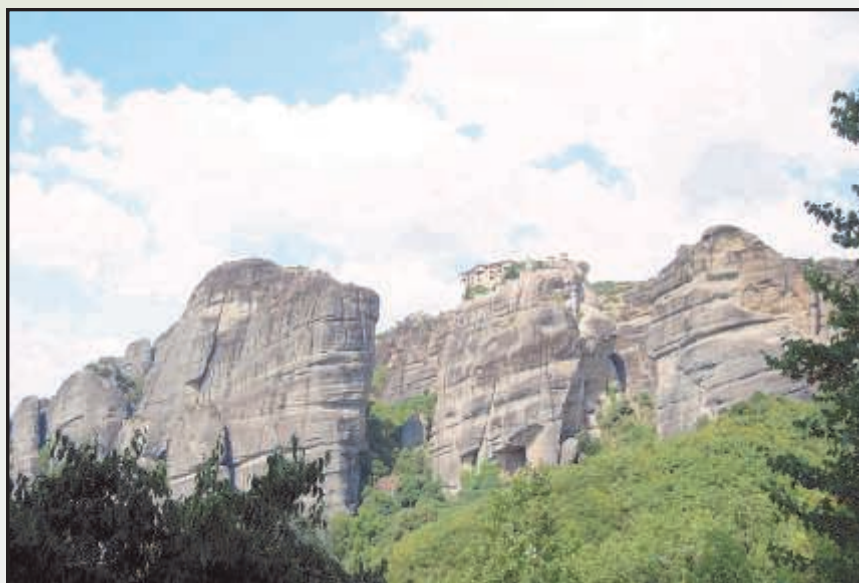


Fot.76 Owoc dzikiej róży
(fot. Zygmunt Jeleń)

<<<

Fot.77 Meteory
- góry stołowe Grecji
(fot. Marcin Ryś)

>>>



Słowackie Tatry Wysokie

Fot. Janusz Sadzikowski



Czerwone Wierchy

Fot. Maria Grochal

